

Bohdan Łukaszewicz

Harcerska Organizacja Podziemna "Iskra" w świetle zeznań śledczych Wiesława Kazberuka

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 4, 553-587

2002

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Bohdan Łukaszewicz

Harcerska Organizacja Podziemna „Iskra” w świetle zeznań śledczych Wiesława Kazberuka

W dotychczasowej historiografii dzieje olsztyńskiej Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra” przedstawiano głównie według nieweryfikowanych materiałów Bezpieczeństwa. HOP miała być organizacją działającą nieprzerwanie w latach 1947—1950 nie tylko w Olsztynie, ale też w siedmiu powiatach województwa olsztyńskiego, ponadto „posiadała kontakty” w województwach białostockim, gdańskim, wrocławskim i warszawskim. Na terenie tylko województwa olsztyńskiego HOP miała liczyć 180 osób, w tym 75 przysiężonych¹.

W czterdziestą rocznicę zlikwidowania organizacji przez UB ukazał się interesujący, starający się unikać tonów hagiograficznych artykuł publicystyczny Wacława Radziwinowicza przedstawiający pierwszy proces HOP². Odnotować należy także wyemitowanie w II programie Telewizji Polskiej w 1999 r. (następnie powtarzanego) w cyklu Krystyny Mokrosińskiej „Świadkowie XX wieku” filmu popularyzatorskiego, poświęconego Harcerskiej Organizacji Podziemnej, w którym zamieszczono wiele ciekawego materiału ikonograficznego, a także relacje członków i „sympatyków” HOP³.

Pierwszą próbę opisu Harcerskiej Organizacji Podziemnej nie bez ambicji naukowych, podjął Waldemar Brenda⁴. Jednakże fragmentaryczne wykorzystanie dostępnych materiałów źródłowych, w tym akt procesowych HOP, nadal pozostawia otwartą sprawę monograficznego przedstawienia zarówno sprzeciwu młodzieży wobec procesów stalinizacji życia publicznego w Polsce schyłku lat czterdziestych, jak również dziejów HOP.

Rozpracowanie Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra”, istniejącej faktycznie od lata 1949 r., funkcjonariusze Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Olsztynie wszczęli w grudniu 1949 r. W grudniu też ukazały się pierwsze ulotki HOP, a w styczniu 1950 r. kolportowano pierwszy numer gazetki „Czyn”, powielonej w nakładzie 150 egzemplarzy, które wkładano do skrzynek na listy, pozostawiano pod

1 J. Golec, *Podziemie zbrojne na Warmii i Mazurach w latach 1945—1948. Z badań nad genezą, strukturą i działalnością*, Komunikaty Mazursko-Warmińskie, 1983, nr 4, s. 431; *Informator o nielegalnych antypaństwowych organizacjach i bandach zbrojnych działających w Polsce Ludowej w latach 1944—1956*, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Biuro „C”, Warszawa 1964, ss. 81—82; ditto przedruk, Wydawnictwo Retro, Lublin 1993, ss. 50—51; Por. też H. Pająk, *Konspiracja młodzieży szkolnej 1945—1956*, Lublin 1994, ss. 55—66, 253; B. Rusinek, Z. Szczurek, *Konspiracyjne organizacje niepodległościowe działające na Pomorzu Gdańskim w latach 1945—1955 w świetle akt byłego Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku*, Gdańsk 1994, ss. 55—57.

2 W. Radziwinowicz, *Laurki*, Olsztyński Kurier Obywatelski, 1990, nr 12 z 23—30 marca.

3 *Harcerska sprawa*, scenariusz i realizacja Krzysztof Wołoczko, Producent: Grupa Filmowa „Kontakt” na zlecenie Programu II TVP, 1998.

4 W. Brenda, *II Konspiracja harcerska w województwie olsztyńskim na przykładzie HOP „Iskra”*, Znad Pisy. Wydawnictwo poświęcone Ziemi Piskiej, 1999, nr 8, ss. 87—99.

progiem mieszkań. 14 lutego 1950 r. rozpoczęły się w Olsztynie pierwsze aresztowania. Do 17 października 1950 r. zatrzymano łącznie 95 osób⁵, spośród których 25 postawiono w stan oskarżenia przed Wojskowym Sądem Rejonowym, który tylko w jednym przypadku orzekł karę więzienia w zawieszaniu, w pozostałych ferował jako kary zasadnicze bezwarunkowe pozbawienie wolności.

5 czerwca 1950 r. w sali sesyjnej olsztyńskiego ratusza przed Wojskowym Sądem Rejonowym rozpoczął się jawny, pierwszy proces Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra”. W składzie sądu, co było rzeczą niezwykłą, zasiadali sami oficerowie: mjr Jerzy Pokorny (przewodniczący), mjr Roman Abramowicz (szef Wojskowego Sądu Rejonowego w Olsztynie) oraz jako ławnik kpt. Czesław Korman. Oskarżał sam szef Wojskowej Prokuratury Rejonowej ppłk Jerzy Tramer⁶. Taki skład miał gwarantować „prawidłowy” przebieg rozprawy.

Na ławie oskarżonych zasiadli: Wiesław Kazberuk⁷, Jan Andrzejewski⁸, Jadwiga Bączyńska⁹, Kazimierz Klimaszewski¹⁰, Jerzy Piątkowski¹¹, Halina Szulc¹² i Ryszard Wrzos¹³. Poza tą siódmką harcerzy wśród oskarżonych znaleźli się ks. Józef Śmietana¹⁴ oraz Piotr Szulc, ojciec Haliny¹⁵.

Oskarżonych broniła trójka adwokatów — Dawid Lipkind, Stanisław Mercik i Jan Włodek — z wyboru, tylko W. Kazberuk i J. Bączyńska mieli obrońców z urzędu.

Akt oskarżenia zarzucał harcerzom popełnienie przestępstw głównie z art. 86 § 2 Kodeksu karnego Wojska Polskiego, art. 7 w związku z art. 15 § 2 dekretu z 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa (zwanego zwyczajowo małym kodeksem karnym): m.in., iż należąc do „nielegalnej, kontrrewolucyjnej”, stworzonej przez W. Kazberuka, Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra”, „usiłowali przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego”, prowadzili działalność szpiegowską, nielegalnie przechowywali broń, amunicję. Sporządzali, przechowywali i rozpowszechniali „ulotki o treści antykomunistycznej i antysowieckiej”, gazetkę

5 Biuro Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa w Olsztynie, Charakterystyka obiektowa 70, sygn. 852/IV.

6 Archiwum Sądu Okręgowego w Olsztynie, Wydział II Karny (dalej: ASOO), Akta sprawy Kazberuk Wiesław i inni, sygn. Sr 103/50, Protokół rozprawy głównej: t. VI, k. 56 i n.

7 W. Kazberuk, s. Władysława i Jadwigi, ur. 5 czerwca 1930 r. w Białymstoku, wykształcenie 4 klasy gimnazjum, urzędnik. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 14 lutego 1950 r. — ibidem.

8 J. Andrzejewski, s. Władysława i Józefy, ur. 6 września 1932 r. w Wilnie, wykształcenie 2 klasy gimnazjum. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 16 lutego 1950 r. — ibidem.

9 J. Bączyńska, c. Antoniego i Gertrudy, ur. 27 marca 1932 r. w Rostocku, wykształcenie 4 klasy gimnazjum, urzędniczka. Zatrzymana przez funkcjonariuszy UB 16 lutego 1950 r., zwolniona 22 lutego i ponownie zatrzymana 14 kwietnia 1950 r. — ibidem.

10 K. Klimaszewski, s. Fabiana i Heleny, ur. 18 kwietnia 1930 r. w Wilnie, wykształcenie 4 klasy gimnazjum, mechanik samochodowy. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 16 lutego 1950 r. — ibidem.

11 J. Piątkowski, s. Aleksandra i Michałiny, ur. 10 lutego 1932 r. w Tomaszowie Lubelskim, uczeń 1 klasy szkoły zawodowej. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 18 lutego 1950 r. — ibidem.

12 H. Szulc, c. Piotra i Jadwigi, ur. 16 lipca 1931 r. w Nowej Wilejce, uczennica 3. klasy gimnazjum handlowego. Zatrzymana przez funkcjonariuszy UB 16 lutego 1950 r. — ibidem.

13 R. Wrzos, s. Michała i Apolonii, ur. 10 listopada 1932 r. w Warszawie, wykształcenie podstawowe — ibidem.

14 J. Śmietana, duchowny rzymskokatolicki, s. Michała i Anny, ur. 10 marca 1910 r. w Koszycach Wielkich, pow. tarnowski, absolwent Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, święcenia kapłańskie otrzymał w 1937 r., w okresie okupacji członek AK Obwodu Jasło, od maja 1945 r. na Dolnym Śląsku. Zatrzymany przez funkcjonariuszy dolnośląskiego UB 11 listopada 1949 r. — ibidem.

15 P. Szulc, s. Antoniego i Antoniny, ur. 19 maja 1902 r. w Maciejszkach, woj. wileńskie. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 14 kwietnia 1950 r. — ibidem.

„Czyn” „zawierającą fałszywe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego i obniżyć powagę jego Naczelnym Organów”, prowadzenie akcji „małego sabotażu”. Ponadto stawiano im zarzuty natury kryminalnej.

Ks. J. Śmietana oskarżony został o przynależność przed 1949 r. na terenie województwa dolnośląskiego do organizacji Wolność i Niezawisłość¹⁶, a ponadto o to, iż będąc prefektem w szkołach we Wrocławskim „wychowywał młodzież w duchu nienawiści do władzy ludowej w Polsce i Związku Radzieckim”, a od stycznia 1948 r., jako kapelan HOP, pomagał Kazberukowi w kierowaniu działalnością organizacji, „urabiał członków ideologicznie w duchu wrogim demokratycznemu ustrojowi Państwa Polskiego i Związkowi Radzieckiemu, wskazywał na perspektywę przekształcenia działalności organizacyjnej w walkę zbrojną w związku z przewidywaną przez niego trzecią wojną” oraz wspierał HOP materialnie.

I wreszcie Piotra Szulca, ojca Haliny, oskarżano z art. 18, § 1 małego kodeksu karnego, który brzmiał: „kto, otrzymawszy wiarygodną wiadomość o przestępstwie — nie zawiadomi natychmiast o tym władzy, powołanej do ścigania przestępstwa, podlega karze więzienia do lat 5”.

Przewód sądowy zakończony został 1 czerwca, a wyrok ogłoszono 5 czerwca 1950 r. W. Kazberuk skazany został na łączną karę 12 lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 4 lata oraz przepadek mienia; ks. J. Śmietana otrzymał wyrok dożywotniego więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 5 lat oraz przepadek mienia; R. Wrzos, K. Klimaszewski i J. Andrzejewski skazani zostali na łączne kary po 10 lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 3 lata oraz przepadek mienia; H. Szulc i J. Bączyńska skazane zostały na łączne kary po 6 lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 2 lata oraz przepadek mienia; J. Piątkowski skazany został na łączną karę 5 lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na 2 lata oraz przepadek mienia. Wobec P. Szulca orzeczono karę 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na 2 lata.

Obrońcy wojskowi skazanych (oprócz Piątkowskiego i P. Szulca) złożyli skargi rewizyjne. Jednakże Najwyższy Sąd Wojskowy postanowieniem z 22 grudnia 1950 r. pozostawił je bez uwzględnienia, a wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Olsztynie utrzymał w mocy¹⁷.

W procesie tym zastanawiający był skład ławy oskarżonych, bowiem nie było wśród nich wszystkich najbliższych kolegów W. Kazberuka. I nie działo się tak przypadkowo, w praktyce bowiem codziennością było sztuczne dzielenie jednej sprawy na kilka odrębnych — w ten sposób w kilku procesach osądzano wzajemnie oskarżających się rzeczywistych bądź rzekomych współsprawców¹⁸. Obecność zaś na ławie oskarżonych duchownego katolickiego, jako kapelana HOP, doskonale wpisywała się w aktualną, już teraz otwartą, walkę z Kościołem rzymskokatolickim, czy, jak w tym przypadku, uzasadniała ją¹⁹.

16 Por. K. Szwagrzyk, *Winni? — Niewinni? Dolnośląskie podziemie niepodległościowe (1945—1956) w świetle dokumentów sądowych*, Wrocław 1999, ss. 216—220.

17 ASOO, sygn. 103/50, k. 125—126, 173—173v.

18 Por. J. Poksiński, *„My, sędziowie nie od Boga...” Z dziejów sądownictwa wojskowego PRL 1944—1956. Materiały i dokumenty*, Warszawa 1996, s. 246.

19 Por. B. Fijałkowska, *Parta wobec religii i Kościoła w PRL, t. I: 1944—1955*, Olsztyn 1999, s. 82 i n.;

W następnych miesiącach 1950 r. odbyły się jeszcze trzy procesy oskarżonych w sprawie „kontrewolucyjnej” HOP.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie pod przewodnictwem kpt. Karola Ratajczaka (oskarżał kpt. Feliks Maciejewski), 31 lipca 1950 r. skazał Romualda Jankowicza²⁰ (oskarżonego dodatkowo o przestępstwa pospolite), Franciszka Rodziewicza²¹ i Henryka Masiewicza²² na łączne kary po 10 lat więzienia wraz z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych przez 4 lata oraz przepadek całego mienia na rzecz Skarbu Państwa; Mariana Leopolda²³ na łączną karę 3 lat więzienia z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 2 lat oraz przepadek mienia. Ponadto oskarżeni o niezawiadomienie władzy o istnieniu nielegalnej organizacji, pomoc udzieloną tejże oraz nielegalne posiadanie broni, materiałów wybuchowych — skazani zostali Witold Martyniak²⁴ na 5 lat więzienia, jego ojciec Michał Martyniak²⁵ na 6 lat więzienia oraz Jan Świdziński²⁶ na 7 lat więzienia.

11 września 1950 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie pod przewodnictwem por. Alojzego Majewskiego, w obecności prokuratora kpt. Feliksa Maciejewskiego, ogłosił wyrok w sprawie kolejnych ośmiu członków HOP. I tak skazani zostali: Dionizy Dogwiłło²⁷ na łączną karę 10 lat więzienia z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 4 lat oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa; Władysław StronIEWSKI²⁸ i Kazimierz Brejniak²⁹ na łączne kary po 8 lat więzienia z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 3 lat oraz przepadek mienia; Tadeusz Walango³⁰ i Leon Mońko³¹ skazani zostali na łączne kary po 6 lat więzienia

R. Tomkiewicz, *Reakcja władz województwa olsztyńskiego na kłatwę watykańską z 1949 r.*, Komunikaty Mazursko-Warmińskie, 2002, nr 3, ss. 407—418.

20 R. Jankowicz, s. Wiktora i Anny, ur. 31 marca 1930 r. w Wilnie, wykształcenie 2 klasy gimnazjum zawodowego. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 19 lutego 1950 r. — ASOO, Akta sprawy Jankowicz Romuald i inni, sygn. Sr 122/50, k. 80—104.

21 F. Rodziewicz, s. Jana i Anny, ur. 29 stycznia 1930 r. w Turmontach, pow. brasławski, wykształcenie 3 klasy gimnazjum zawodowego. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 21 lutego 1950 r. — ibidem.

22 H. Masiewicz, s. Jerzego i Weroniki, ur. 25 listopada 1927 r. w Brześciu, wykształcenie podstawowe, zatrudniony w państwowym majątku rolnym, od grudnia 1948 r. członek PZPR. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 24 marca 1950 r. — ibidem.

23 M. Leopold, s. Stefana i Wiktorii, ur. 12 maja 1932 r. w Kaliszu, uczeń. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 23 lutego 1950 r. — ibidem.

24 W. Martyniak, s. Michała i Genowefy, ur. 7 stycznia 1932 r. w miejscowości Dukszty, pow. święciański, uczeń Liceum Mechanicznego. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 4 maja 1950 r. — ibidem.

25 M. Martyniak, s. Zygmunta i Marianny, ur. 12 lutego 1894 r. w Sałacie, pow. brasławski, wykształcenie 2 klasy szkoły powszechnej, maszynista parowozu. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 4 maja 1950 r. — ibidem.

26 J. Świdziński, s. Józefa i Anieli, ur. 7 września 1908 r. w Kukutanach, pow. brasławski, wykształcenie 4 klasy szkoły powszechnej, robotnik kolejowy. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 6 maja 1950 r. — ibidem.

27 D. Dogwiłło, s. Karola i Kamalii, ur. 8 kwietnia 1931 r. w Wołkowysku, wykształcenie 2 klasy gimnazjum, ślusarz. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 lutego 1950 r. — ASOO, Akta sprawy Dogwiłło Dionizy i inni, sygn. 183/50.

28 W. StronIEWSKI, s. Ludwika i Józefy, ur. 4 lipca 1930 r. w Kuninie, pow. ostrołęcki, wykształcenie podstawowe. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 lutego 1950 r. — ibidem.

29 K. Brejniak, s. Stanisława i Zofii, ur. 21 marca 1931 r. w Przetyczu, pow. ostrowski, wykształcenie zasadnicze zawodowe, ślusarz. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 lutego 1950 r. — ibidem.

30 T. Walango, s. Karola i Emilii, ur. 8 maja 1932 r. w Wilnie, uczeń gimnazjum mechanicznego. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 lutego 1950 r. — ibidem.

31 L. Mońko, s. Adolfa i Eudokii, ur. 8 czerwca 1931 r., wykształcenie 2 klasy gimnazjum komunikacyjnego, ślusarz. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 lutego 1950 r. — ibidem.

z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 2 lat oraz przepadek mienia; Tadeusz Wierzbicki³² i Jerzy Wołejko³³ skazani zostali na łączne kary po 5 lat więzienia z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 2 lat oraz przepadek mienia; Jerzy Stecki³⁴ natomiast skazany został na karę 2 lat więzienia z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres jednego roku oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa.

7 grudnia 1950 r. zapadł wyrok w sprawie Romana Bronowickiego³⁵, oskarżonego to, iż „otrzymał wiarygodną wiadomość o istniejącej na terenie Olsztyna nielegalnej organizacji HOP zmierzającej do obalenia przemocą ustroju Państwa Polskiego, nie doniósł o tym do władz”, a więc dopuścił się przestępstwa przewidzianego w art. 18 § 1 małego kodeksu karnego. Wojskowy Sąd Rejonowy, któremu przewodniczył ppor. Edwin Kęsik, skazał R. Bronowickiego na rok bezwarunkowego więzienia³⁶.

Publikowane niżej zeznania Wiesława Kazberuka, twórcy i przywódcy Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra”, nie były dotąd w żaden krytyczny sposób wykorzystane, a mają one niebagatelne znaczenie, bowiem w świetle odmiennym niż przyjmowano, przedstawiają wiele kwestii, jak chociażby to, w jakim kierunku toczyło się śledztwo, co starano się imputować podejrzanym, okres istnienia organizacji, pomijaną, czy marginalnie dotąd traktowaną działalność czysto harcerską w duchu skautingu i polskich tradycji, wielki kult Szarych Szeregów i bohaterstwa harcerzy czasu wojny, sprzeciw wobec zniewolenia Związku Harcerstwa Polskiego. Pozwalają również na jednoznaczne rozdzielanie tego, co było młodzięcym marzeniem — by nie rzec mrzonką — od rzeczywistości i rzeczywistych poczynań; co było fikcją, a co realnym bytem. Jakkolwiek tekst ten powstał w warunkach brutalnego śledztwa, jakiemu poddani zostali zatrzymani i stąd wiele kwestii należy traktować nader krytycznie (jak zresztą każdy przekaz tego rodzaju), to jednak zeznania te mogą stanowić materiał porównawczy ze spisaniem po latach wspomnieniami³⁷, kiedy to wielki wpływ na autentyczność przekazu ma m.in. sposób funkcjonowania mechanizmu pamięci.

Publikowany tekst pochodzi z akt procesowych HOP. Spisany został przez W. Kazberuka między 24 marca a 14 kwietnia 1950 r., a więc już po pierwszej, najgorszej fazie śledztwa w areszcie wewnętrznym Wojewódzkiego UB w Olsztynie. Liczył 125 stron formatu A 5, zapisanych ołówkiem. W aktach zachował się również poświadczony odpis maszynowy zeznań³⁸.

Przygotowując tekst do publikacji, dążono przede wszystkim do przejrzystości przekazu i zachowania jego charakteru. Aby sens tekstu nie budził wątpliwości i w obawie przed zniekształceniem źródła, pozostawiono wszelkie potknięcia stylistyczne, poprawia-

32 T. Wierzbicki, s. Zdzisława i Jadwigi, ur. 9 lutego 1933 r. w Warszawie, wykształcenie podstawowe, elektromonter. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 27 lutego 1950 r. — ibidem.

33 J. Wołejko, s. Teofila i Moniki, ur. 7 kwietnia 1931 r. w Sobotnikach, pow. lidzki, uczeń 10 klasy jedenastolatki. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 lutego 1950 r.

34 J. Stecki, s. Jerzego i Kazimiery, ur. 25 maja 1933 r. w Równem. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 22 lutego 1950 r. — ibidem.

35 R. Bronowicki, s. Jana i Anny, ur. 29 maja 1929 r. w Równem, wykształcenie zasadnicze zawodowe, mechanik samochodowy. Zatrzymany przez funkcjonariuszy UB 17 października 1950 r. — ASOO, Akta sprawy Bronowicki Roman, sygn. Sr 281/50, k. 14—14v.

36 Ibidem, k. 38—40.

37 Por. wspomnienia W. Kazberuka zamieszczone na łamach biuletynu „Jaworzniacy”, 1996, nr. 9—11; 1997, nr. 9, 11.

38 ASOO, sygn. 103/50, k. 231—259.

jąc jedynie błędy ortograficzne, oczywiste literówki i interpunkcję — tak by zachować jednoznaczność lekcji źródła. Nie korygowano błędów gramatycznych nie zniekształcających tekstu. W przypadku nielicznych błędów logicznych, wadliwej budowy zdania, lekcję źródła potwierdzano wykrzyknikiem w nawiasie kwadratowym. W takim samym nawiasie ujmowano kursywą wszelkie dopiski wydawcy. Wprowadzono do tekstu akapity, których w oryginale brakowało. Świadomie natomiast zrezygnowano z komentarzy i przypisów rzeczowych, bowiem publikowany tekst wymaga w wielu przypadkach daleko posuniętego krytycyzmu i konfrontacji z innymi przekazami, co jest niemożliwe w formie tu prezentowanej.

Być może publikowany tu tekst będzie pomocny w jakimś, choćby niewielkim stopniu, przy próbie napisania naukowej monografii Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra”, na którą jej członkowie w pełni zasługują.

[Zeznanie Wiesława Kazberuka]

[Olsztyn], dnia 24 III 1950 r.

Oświadczenie

Oświadczam niniejszym, co następuje:

Kolegę Jankowicza Romualda poznałem w roku 1946 w drużynie lotniczej i bliższych stosunków z nim nie utrzymywałem, dopiero zacząłem z nim kolegować się na wiosnę 1947 r. Poznałem w tym czasie Rodziewicza Franciszka i poprzednio Masiewicza Henryka, wszyscy z drużyny lotniczej.

W kwietniu tegoż roku, gdy szedłem do gimnazjum, które się znajduje przy ulicy Mickiewicza 6, wraz z Jankowiczem, ten ostatni zaproponował mi niespodzianie, pokazując jakiś druczek, czy nie udałoby się przekalkować podpis z jednego miejsca tegoż druku na drugie, ja po bliższym przyjrzeniu się temu zaopiniowałem, że da się to zrobić. Wtenczas prosił, mnie abym zaraz poszedł do domu z nim i podpis ten na oczekaniu przekalkowałem. Z początku nie chciałem tego robić, ale po namowie i obiecanej zapłacie w wysokości 1000 zł, zgodziłem się i podpis przekalkowałem. Wtedy Jankowicz powiedział mi, że on na ten druczek pobierze pieniądze i tak zrobił. Pieniądze te, jak zdążyłem zaobserwować, zużywał na kino, cukierki oraz kupując sobie różne rzeczy. Takich faktów było dwa lub trzy, ale pieniądze za to, tak jak pamiętam, otrzymałem tylko raz.

W roku 1947, na miesiąc lipiec szykowaliśmy własny obóz wędrowny, ale nas Komenda Chorągwi Harcerzy skierowała na Ochotniczy Harcerski Obóz Odbudowy Warszawy w Warszawie, gdzie byliśmy przez cały lipiec. Na nim, jak i na każdym innym obozie w tym czasie, zetknęliśmy się z historią harcerstwa z czasów okupacji niemieckiej. Gawędy o „Szarych Szeregach” opowiadane były na ogniskach harcerskich, na zbiórkach, oraz dyskutowaliśmy na ten temat między sobą. Ale kiedy nas oprowadzali po Warszawie, pokazując miejsca akcji, sabotaży i walki w czasie powstania, wtenczas nam już było za dużo, żalowaliśmy wszyscy, żeśmy nie brali w tym udziału i każdy myślał, żeby nastąpiła znowu okupacja, to by walczył, tak jak to robiły „Szare Szeregi”. Ja osobiście przejąłem się bardzo tą myślą i w późniejszej mojej działalności zawsze opierałem się na

„Szarych Szeregach” i na ich sposobach walki. Po obozie myśl ta nie dawała mi nigdy spokoju, to był mój ulubiony temat. Zetknąłem się z książkami z tego okresu, jak „Kamienie na szaniec” i „Szare Szeregi” i postanowiłem też stworzyć konspiracyjną drużynę. Z tą myślą zwierzyłem się moim kolegom Jankowiczowi Romualdowi i Masiewiczowi Henrykowi. Myśl tę przyjęli z entuzjazmem i po paru dniach wciągnęliśmy do tego Rodziewicza Franciszka oraz Piłata Zygmunta, który niezbyt chętnie do tego się garnął, a w następstwie czego z nami nie wyjeżdżał i od nas się odłączył. Z początku nie zdawaliśmy sobie [sprawy], czy to ma jakikolwiek sens i z kim będziemy walczyć, [jaki jest] nasz cel i zadania. Podchodziliśmy do tego bardzo po dziecinnemu.

Z początku urządziliśmy ogniska nad Łyną w lesie, w tak zwanych „domkach letniskowych”. Śpiewaliśmy tam piosenki partyzanckie i wspominaliśmy pełne bohaterstwa czyny „Szarych Szeregów”. Zaczął na nas działać urok partyzantki, zaczęliśmy się bardziej zastanawiać i postanowiliśmy stworzyć organizację. Obmyślaliśmy strukturę, nie mając o tym najmniejszego pojęcia. W końcu, obliczając na większy przyrwyłw członków, postanowiliśmy przyjąć strukturę Komendy Chorągwi Harcerzy, a nie Komendy Hufca, jak to mieliśmy pierwotny zamiar. Konkretny cel i zadania nie wytyczyliśmy sobie, ponieważ organizowaliśmy się i działali nie z premedytacją, ale z chęcią szukania „wielkiej przygody”. Pamiętając, że „Szare Szeregi” były oparte o Armię Krajową i [chcąc stworzyć] fikcję dużej oraz poważnej organizacji, daliśmy jej następującą nazwę „ZHP Komenda Chorągwi Harcerzy Armii Krajowej »Iskra«”. Kryptonim „Iskra” nadany był przez Rodziewicza Franciszka, który chętnie przyjęliśmy.

Tworząc organizację, złożyło nas pięciu — to znaczy ja, Jankowicz Romuald, Rodziewicz Franciszek, Masiewicz Henryk i Piłat Zygmunt — przyrzeczenie harcerskie na ryngraf przyniesiony przeze mnie z domu. Przyrzeczenie odbyło się na poddaszu Domu Harcerza w pierwszych dniach września 1947 r. W dalszej naszej działalności stworzyliśmy Komendę, w skład której weszło nas pięciu. Na czele organizacji, jako komendant, ja zostałem wytypowany, a zastępcą moim Masiewicz Henryk. Następnie, chcąc rozszerzyć organizację, zaczęliśmy werbować członków. Ja zwerbowałem ze Szczytna Żencykowską Wandę, jej brata Żencykowskiego Witolda oraz Kozłowską Halszkę w następujący sposób. Pracowałem wówczas w Komendzie Hufca Szczytno, delegowany przez Komendę Chorągwi na moją prośbę. Będąc tam co niedziela, a nawet i częściej, poznałem zastępcę Komendanta Hufca — Żencykowskiego Witolda, a następnie jego siostrę i jej koleżankę, wszyscy są wyżej wymienieni. Po uzgodnieniu poprzednio w Olsztynie z moimi kolegami, kogo chcę zwerbować, w Szczytnie, w mieszkaniu państwa Żencykowskich, w obecności tylko Witolda i Wandy Żencykowskiej zacząłem rozmowę o „Szarych Szeregach”, przedstawiając ich wspaniałe akcje, na skutek tego wywiązała się dyskusja, w której oznajmiłem im, że istnieje dalszy ciąg „Szarych Szeregów” pod kryptonimem „Iskra”, do której mogą należeć. Powiedzieli mi, że muszą się namyśleć, a po kilku dniach, gdy byłem w Szczytnie, dali mi pozytywną odpowiedź. Wtedy dałem im polecenie werbowania członków oraz prowadzenia normalnej pracy harcerskiej, niemniej jednak zachowując zasady konspiracji i kładąc wielki nacisk na gawędy z historii ZHP z czasów okupacji niemieckiej, bo inaczej mija się z celem, to jest z samą istotą konspiracji, jak my wówczas sądziliśmy. W tym też czasie podobną rozmowę przeprowadziłem w Olsztynie z Kurachem, który jednak dał odpowiedź negatywną, twierdząc, że to nie ma najmniejszego sensu. Kuracha znałem ze szkoły oraz z harcerstwa. Zapomniałem nadmienić, że w czasie przeprowadzenia rozmowy w Szczytnie, u państwa Żencykowskich, zapytano

mnie się, czy do organizacji można zwerbować Halinę Kozłowską, na co ja odpowiedziałem, że jeśli mają do niej zaufanie, to niech zwerbują. Jeszcze tego samego dnia przeprowadziłem podobną rozmowę z Kozłowską Haliną, jak dotychczas z Żenczykowskimi.

W tym czasie w Olsztynie nie przestawaliśmy prowadzić dyskusji na temat organizacji i, analizując posunięcia „Szarych Szeregów”, postanowiliśmy w przyszłości pójść do partyzantki. Aby do tego się przyszykować, urządzaliśmy biwaki w „domkach nad Łyną”, oraz postanowiliśmy ściągać w miarę możliwości broń i amunicję. Przypomniałem sobie wtedy fakt, że mieszkając w Sokółce koło Białegostoku, miałem kolegę Jurgieleńca Ryszarda, który wspominał kiedyś, że gdzieś znalazł niemiecki automat „MP” i trzyma go, że gdy będzie miał amunicję, to postrzela sobie dla przyjemności, ewentualnie pójdzie na zajęcia. Z tą myślą zwierzyłem się kolegom i postanowiliśmy: ja wraz z Masiewiczem Henrykiem pojedziemy do Sokółki i może nam się uda dostać od niego ten automat. Pieniądze dawaliśmy, kto ile miał i w ten sposób mieliśmy na drodze. W końcu październik lub na początku listopada pojechaliśmy do Sokółki. Po dłuższych prośbach pozyczył nam automat, ale w warunkiem dostarczenia go [z powrotem] w lutym 1948 r., na co zgodziliśmy się. Wtedy Jurgieleńca wziął futerał od skrzypiec i wyniósł w nim ze stodoły automat, po wyczyszczeniu go rozebraliśmy na dwie części i schowaliśmy pod ubranie. W ten sposób przywieźliśmy go do Olsztyna. W Olsztynie automat z początku wziął Jankowicz Romuald, a następnie umieściliśmy go w „domkach nad Łyną”, w jednej ze ścian. Często tam przychodziliśmy i ćwiczyliśmy się z nim. W tym czasie zacząłem bardzo zaniedbywać lekcje w szkole, nie odrabiałem ich, uciekałem ze szkoły na wagary i cały czas zajęty byłem tylko myślą o organizacji. Gdy rodzice dowiedzieli się o „postępkach” moich w nauce, miałem z tego powodu ciągle kłótnie i awantury, a ponieważ w podobnej sytuacji znajdował się i Jankowicz, namawiał ciągle mnie, aby z Olsztyna wyjechać. W pierwszych dniach stycznia 1948 r., kiedy wybieraliśmy się do teatru, przybiegł przestraszony Jankowicz i zaczął opowiadać, że wciągając do organizacji kol. Julka (nazwiska nie pamiętam), ten ostatni powiedział rzekomo, że jest w UB i że doniesie do Urzędu Bezp[ieczeństwa] Publ[icznego], wtedy myśmy mu uwierzyli, a nie wiedzieliśmy, że to jest zastosowany przez niego zwykły trick, aby przyspieszyć wyjazd. Tej samej nocy udaliśmy się jeszcze do Rodziewiczza Franciszka, który z nami poszedł na kolonię Zielona Górka, gdzie rzekomo ma ukryty pistolet. Kazał nam się zatrzymać, a sam poszedł dalej, po chwili wrócił i powiedział, że pistoletu nie ma, czy też nie może znaleźć tego człowieka, któremu dał, dokładnie nie pamiętam tego faktu.

Na następny dzień powiadomiliśmy o „wsypie” Piłata Zygmunta, który u swego krewnego na ulicy Kościuszki zrobił dla nas locum. Przebywaliśmy tam przez trzy dni. Po trzech dniach pobytu tam postanowiliśmy wyjechać do innego miasta. Pieniądze na ten cel Jankowicz powiedział, że dostanie z domu, oprócz tego dostarczył trochę pieniędzy i Masiewicz Henryk. Ja pieniędzy swoich miałem tylko kilkadziesiąt złotych. Punktu zaczepienia, czyli jakiegoś miejsca, jeszcze nie mieliśmy. Dnia 10 stycznia 1948 r., z rana odjechaliśmy w kierunku Szczytna, żegnani przez pozostałych kolegów. W Szczytnie udaliśmy się do kol. Żenczykowskich i powiadomiliśmy o tym, że jest „wsypa” i my musimy wyjechać, po porozumieniu się między sobą umieścili nas u swojej koleżanki Romualdy Miłkowskiej, gdzie przebywaliśmy parę dni, aż do wyjazdu. Pytaliśmy się o ich znajomych, którym można by było zaufać i w ten sposób znaleźć miejsce zaczepienia. Po pewnym czasie dała nam Wanda Żenczykowska adres swojego kolegi Zygmunta wraz

z listem polecającym (nazwiska i adresu nie pamiętam, wiem tylko, że mieszka we Wrocławiu, w dzielnicy Krzyki). W liście było podane, że my jesteśmy sierotami i nie mamy gdzie mieszkać (ale dokładnie tego nie pamiętam), żeby nam pomógł szukać pracę i mieszkanie. W Szczytnie, w dzień wyjazdu wieczorem, dziewczęta urządziły coś w rodzaju pożegnalnego wieczoru, następnie pojechaliśmy do Wrocławia. Będąc w Olsztynie, Jankowicz Romuald mówił matce swojej o tym, że mamy zamiar wyjechać, a ona powiedziała, że nie tylko modlić się będzie za swego syna, ale i za mnie, oraz że będzie dawać na msze święte odprawiane za nas, ale w jakim świetle Jankowicz przedstawił swej matce nasz wyjazd, tego nie wiem. W późniejszym czasie brałem pieniądze ofiarowane przez matkę Jankowicza, co następnie wyjaśnię, ale nigdy nie słyszałem, abym rzekomo brał pieniądze ofiarowane przez jakiegoś księdza i w dodatku na cele organizacyjne. Jeśli brałem od matki jego, to tylko na drogę albo na wyżywienie, jako pomoc dla nas, ale czy matka Jankowicza zdawała sobie sprawę z tego, dlaczego my wyjeżdżamy, to zależy od Jankowicza, czy wyjaśnił jej dokładnie, a tego ja nie wiem.

Po przyjeździe do Wrocławia udaliśmy się wraz z Jankowiczem na przedmieście Krzyki, do kolegi Zygmunta. Zastaliśmy go jeszcze w łóżku, po wręczeniu przez nas listu polecającego kazał nam się zatrzymać i okazywał wielkie zakłopotanie. Zadał kilka pytań dotyczących bezpośrednio nas, jak na przykład „Czy długo pozostaniemy we Wrocławiu?”, „Dlaczego przyjechaliśmy do Wrocławia?” albo „Czy mamy rodzinę lub jakiś krewnych?” Na wszystkie podobne pytania dawaliśmy zawsze wymijającą odpowiedź, ale dokładnie tak pytań, jak i odpowiedzi nie pamiętam. Widząc, że nie pozostaje nam nic innego, tylko wyjechać, powiedziałem Jankowiczowi, że mam na Dolnym Śląsku wujka i może uda się nam u niego zamieszkać. Nie mając nic do stracenia, postanowiliśmy do niego jechać. Przed wyjazdem kolega Zygmunt, widząc, że jesteśmy w ciężkich warunkach materialnych, ofiarował nam 500 zł i powiedział, że w razie ciężkich warunków zawsze nam, w miarę możliwości, będzie się starał pomóc.

Po przyjeździe do Bystrzycy udaliśmy się do wujka, według zapamiętanego przeze mnie adresu. Jakaś lokatorka skierowała nas do Starostwa, gdzie wujek pracuje, tam też znalazłem wujka. Po chwili wujek przyprowadził nas do domu. Po dwóch czy też trzech dniach pobytu u wujka zmuszeni byliśmy prosić o stałe zamieszkanie, czym wujek był niezmiernie zdumiony. Nie pamiętam, jakich używaliśmy argumentów, wiem tylko, że prawdy nie chcieliśmy powiedzieć. Mimo wszystko stało na tym, że zostajemy na miejscu. Wujek mój wkrótce skomunikował się z rodzicami, gdzie dowiedział się, że ja uciekłem z domu. Od tego czasu nie dawał nam spokoju, wypominając ciągle i starając się, abyśmy powrócili znów na łono rodziny. W tym czasie miejscowi harcerze urządzali imprezę dochodową pod nazwą „Jasełka”. Ja wraz z Jankowiczem ofiarowaliśmy im swą pomoc. Wtedy właśnie zapoznaliśmy opiekuna miejscowych drużyn harcerskich księdza Śmietanę Józefa. Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy przyjezdnymi harcerzami i chcemy zrobić odprawę funkcyjnych z drużyn męskich, aby opracować metody podniesienia na wyższy poziom techniczny drużyny harcerskie w Bystrzycy. Odprawa taka odbyła się w kilka dni później w szkole, gdzie poznałem szereg harcerzy, a przede wszystkim drużynowego Rynga Zbigniewa. Na odprawie uchwaliliśmy prowadzenie kursu zastępowych oraz współpracę z harcerkami. Wkrótce zaczęliśmy kurs zastępowych. W międzyczasie przeprowadziliśmy w szkole powszechnej kurs introligatorski, za który otrzymaliśmy trzy tysiące złotych.

Drużyna harcerska posiadała maszynę do pisania, na której ja z Jankowiczem

napisaliśmy opracowaną wspólnie instrukcję. Następnie udaliśmy się do księdza Śmietany i zaczęliśmy rozmowę na temat harcerstwa, a następnie „Szarych Szeregów” oraz nielegalnych organizacji. W trakcie rozmowy powiedzieliśmy o tajnej organizacji harcerskiej „Iskra” oraz że my jesteśmy jej członkami, a na dowód tego pokazaliśmy uprzednio napisane instrukcje. Instrukcje były opatrzone pieczęcią nagłówkową ułożoną z czcionek gumowych ręcznej drukarki. Czcionki te miałem już od bardzo dawna i przywoziłem je z sobą jeszcze z Sokółki. Staraliśmy się zwerbować ks. Śmietanę do organizacji. Po przeczytaniu instrukcji ksiądz zgodził się należeć do „Iskry”, nawet jako kapelan, tylko powiedział, żeby mniej robić takiej roboty papierkowej, bo za to można szybko wpaść, lecz lepiej jakąś pracę konkretną. Jako pseudonim obrał sobie ksiądz Śmietana stary swój pseudonim „Błyskawica”, jaki miał z partyzantki, z czasów okupacji niemieckiej. Ja w tym czasie miałem pseudonim „Jacek”, a jaki Jankowicz pseudonim miał, tego nie pamiętam. Natomiast w instrukcjach danych przez nas księdzu Śmietanie, dla stworzenia fikcji, podpisałem się pseudonimem „major Malinowski”, a Jankowicz podpisał się jako „major Bilewicz”. Oczywiście nie mieliśmy zamiaru przyjmować stopnie wojskowe[!], a tylko tak, jak wyżej wymieniłem, wyłącznie dla stworzenia fikcji. W późniejszym czasie spotkaliśmy się znowu z podobnym przypadkiem[!].

Korzystając nadal z maszyny, pisaliśmy instrukcje i rozkazy, przyszykując je na Olsztyn. Zaiszła potrzeba używania pieczętki okrągłej, dlatego też postanowiliśmy dać do zrobienia we Wrocławiu. W początkach lutego, jadąc z instrukcjami i rozkazami do Olsztyna, zatrzymałem się we Wrocławiu i na ulicy Chrobrego, w prywatnym sklepie, dałem do zrobienia pieczętkę. Z początku nie chcieli przyjąć, ale później wytłumaczyłem im, że w Olsztynie nie ma zakładu do robienia pieczętek, a w Warszawie nie będę się specjalnie zatrzymywał dla pieczętki, w dodatku jadąc do Wrocławia. Po takich argumentach zgodzili się zrobić pieczętkę, ale na wszelki wypadek spisali z moich dokumentów wszystkie dane personalne. Pieczętkę zamówiliśmy okrągłą, o wzorze harcerskim, to znaczy o średnicy 2,5 cm, pośrodku z krzyżykiem harcerskim i z napisem „Z.H.P. Kom[enda] Chor[ągwi] Harcerzy Olsztyn”. Myśmy następnie mieli wyciąć napis „Olsztyn”, a w te miejsce ułożyć z czcionek gumowy napis „Iskra”. W ten sposób mieliśmy zdobyć pieczętkę okrągłą naszej organizacji.

Po przyjeździe do Olsztyna przywiezione ze sobą instrukcje i rozkazy oddałem Masiewiczowi Henrykowi. Z Masiewiczem Henrykiem oraz Rodziewiczem Franciszkiem omawialiśmy sprawy pójścia do partyzantki. Umówiliśmy się uzgodnić ten fakt i termin podać w liście. Następnie udałem się do matki Jankowicza, która nam ofiarowała jakąś sumę pieniędzy (dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że od tysiąca do trzech). W domu swoim byłem około godziny i widziałem się tylko ze swą matką, która prosiła, bym powrócił do domu, to ojciec nie będzie się na mnie gniewał, ale ja nie chciałem. Następnie pojechałem do Szczytna i widziałem się z Wandą i Witoldem Zenczykowskim oraz Haliną Kozłowską i innymi znajomymi. W[yżej] wymienionym opowiadałem, że jesteśmy na Dolnym Śląsku i że dobrze na razie nam się dzieje. Stamtąd powróciłem z powrotem na Dolny Śląsk.

W tym czasie ukończyliśmy kurs zastępowych, a ponieważ ogół harcerzy wiedział, że my nie mamy rodziców (bo w ten sposób tłumaczyliśmy swój pobyt w Bystrzycy), wtedy, na wniosek rady drużyny oraz za aprobatą księdza Śmietany, postanowiono za wkład, jaki daliśmy w tutejsze harcerstwo, zapłacić nam. Otrzymaliśmy kilka tysięcy złotych (dokładnej sumy nie pamiętam). Wtedy Jankowicz nie dawał mi spokoju, mówiąc, że

mamy pieniądze i możemy już iść do partyzantki, a kiedy z Olsztyna koledzy przysłali nam termin na 1 marca 1948 r., zapytaniem, czy my się zgadzamy, zmuszony byłem zgodzić się. Po spakowaniu wszystkich rzeczy wyjechaliśmy z Bystrzycy 25 czy też 26 lutego tegoż roku. Zapomniałem nadmienić, że będąc w Bystrzycy, od chwili wciągnięcia księdza Śmietany do naszej organizacji „Iskra”, prowadziliśmy z nim rozmowy na tematy polityczne. Rozmowy te i dyskusje były o nastawieniu antybolszewickim, podtrzymywały one nas na duchu oraz uświadamiały nas politycznie. Czuliśmy nienawiść do Związku Radzieckiego. W dyskusjach przechodziliśmy myślą przez całe wieki, gdzie Niemcy i Rosja były dla nas odwiecznymi wrogami, czyhającymi tylko na zabór Polski. Nienawidziliśmy Polski Ludowej z tego tylko względu, że, jak nam ksiądz Śmietana mówił, Polska zawarła przymierze ze Związkiem Radzieckim i dla niego oddaje węgiel i inne produkty. O takiej mniej więcej treści były nasze rozmowy.

Z takim nastawieniem przyjechaliśmy do Olsztyna, aby iść do partyzantki. W Olsztynie zebraliśmy się u Jankowicza, w domu. Było nas wtedy 4, to zn[aczy] ja, Jankowicz Romuald, Masiewicz Henryk i Rodziewicz Franciszek. Przy rozłożonej mapie omawialiśmy teren, gdzie najczęściej grasują partyzantki, aby mieć pewność, że jak pójdziemy, to musimy natrafić na jakiś oddział. Obraliśmy jako teren Czerwony Bór pod Ostrołęką. Jako ekwipunek swój postanowiliśmy wziąć środki łączności z harcerskiej drużyny łączności, której Masiewicz Henryk był drużynowym. Do środków tych zaliczały się: aparaty telefoniczne, brzęczyki, detektor, cewki, transformatory, kable itp. Te wszystkie wyżej wymienione przedmioty wraz z naszymi instrukcjami i rozkazami oraz automatem niemieckim typu MP wzór 43, postanowiliśmy wziąć ze sobą. Tego samego dnia ja wraz z Jankowiczem pojechaliśmy do Szczytna, gdzie zatrzymaliśmy się u koleżanki Romualdy Miłkowskiej. W Szczytnie od razu powiadomiliśmy członków „Iskry”, to znaczy Wandę i Witka Żenczykowskich oraz Kozłowską Halinę, że przyjadą jeszcze koledzy i pojedziemy razem do partyzantki. W Szczytnie czekaliśmy wraz z Jankowiczem na pozostałych kolegów dwa dni. Po tym okresie czasu przybyli do nas następujący koledzy: Masiewicz Henryk, Rodziewicz Franciszek, Mastalerek Jerzy i Dudek Zbigniew, przywoząc ze sobą wyżej wymieniony sprzęt techniczny. Jeśli chodzi o dwóch ostatnich, to znaczy Mastalerek Jerzego i Dudka Zbigniewa, to oni nie byli członkami „Iskry”, ale pojechali z nami tylko dlatego, że przed wyjazdem Rodziewicz Franciszek zwierzył się im z projektem, a oni zapragnęli również pójść do partyzantki. W Szczytnie zatrzymaliśmy się jeszcze przez noc. Ja, Jankowicz i Masiewicz spaliśmy u Miłkowskiej Romualdy (wraz z Rodziewiczem), a Mastalerek i Dudek spali u Wandy Sztangi, gdzie im przyszykowały miejsce Kozłowska Halina wraz z Żenczykowską Wandą. Przebywaliśmy jeszcze przez cały dzień następny, gdzie trwały narady co do wyboru miejsca.

Brak jakichkolwiek adresów uniemożliwiał nam znalezienie jakiegoś punktu zaczepienia. Wtedy Kozłowska wraz z Żenczykowską powiedziały, że mają koleżankę, znaną nam, która zna tamte tereny, była to Zofia Romanowiczówna. Po jej przybyciu oznajmiła nam, że owszem zna tereny, ale koło Przasnysza i może nam dać adres osoby, która za niemieckich czasów utrzymywała kontakt z partyzantką, ale czy teraz utrzymuje, tego ona nie wie. Adres ten zapisałem. Nazwiska ani imienia nie pamiętam, mieszka we wsi Drożdżewko i zajmuje się sprzedażą torfu.

Tego samego wieczoru, to znaczy 1 marca 1948 r., wyruszyliśmy ze sprzętem technicznym szosą na Wielbark, odprowadzeni przez Kozłowską Halinę (czy Wanda Żenczykowska nas odprowadzała, tego nie pamiętam). Zaraz za miastem rozwinęliśmy

szyk patrolowy. W straży przedniej szedł Jankowicz Romuald i Masiewicz Henryk wraz z nieodłącznym automatem, w straży tylnej szedł Rodziewicz Franciszek i Mastalerek Jerzy, a w sile głównej szedł Dudek Zbigniew i ja. W razie samochodu lub idących ludzi schodziliśmy w bok z szosy i kryliśmy się za drzewami, aby nikt nas nie widział, oraz żeby nie pozostawić za sobą jakichkolwiek poszlak. Około północy doszliśmy pod Wielbark i tam w lesie zostaliśmy aż do rana. Z rana, po ugotowaniu posiłku, zaopatrzeni uprzednio przez[!] dokument stwierdzający, że jesteśmy grupą harcerzy poszukującymi terenu na obóz, ruszyliśmy do Wielbarka ze starannie ukrytym automatem. (Zapomniałem nadmienić, że wyżej wymieniony dokument myśmy, to znaczy ja wraz z Jankowiczem, napisali na maszynie, będąc jeszcze na Dolnym Śląsku, oraz zaopatrzyliśmy ten dokument w pieczęcie, pochodzenie których uprzednio wyjaśniłem). W Wielbarku czekaliśmy na pociąg. Na dworcu rozmawialiśmy z jakimś milicjantem i mieliśmy chęć go rozbroić, ale żaden z nas nie miał na to odwagi. W pociągu czytaliśmy wzięte z sobą gazety z *Z[wiązku] W[alki] M[łodych]* oraz przeprowadzaliśmy między sobą takie rozmowy, aby stworzyć pozory aktywistów ZWM. Na stacji Parciaki wysiedliśmy po przeciwległej stronie dworca i kierując się według mapy ruszyliśmy przez las do wsi Budy Prywatne.

Zatrzymaliśmy się na skraju lasu, a Jankowicz wraz z Masiewiczem przeprowadzili wywiad wsi, aby się przekonać, czy jest bezpiecznie. Po pozytywnym wyniku ruszyliśmy na przełaj przez łąki, omijając Budy Prywatne, do wsi Drażdzewo. Ale na drodze wynikła nowa przeszkoda, przepływająca rzeczka [*Orzyc*] już rozmarzła i nie mogliśmy jej przejść, a do najbliższego mostu było około 6 km. Wiedząc, że nie możemy się przeprawić, a bojąc się spać we wsi, postanowiliśmy tymczasem przespać się w stogu siana. Rozciągnęliśmy antenę, włączyliśmy detektor, aby posłuchać muzyki, ale chłopcy zaczęli się skarżyć na ból głowy oraz na wysoką gorączkę. Jasne było, że poprzeciębiali się. Nie było innej rady, tylko wróciliśmy do wsi (nazwy nie pamiętam) [*być może chodzi o Wólkę Rakowską*] równoległe położonej do wsi Budy Prywatne. Tam, powołując się na ww. harcerski dokument, uzyskaliśmy nocleg. Na drugi dzień z rana, według otrzymanego w Szczytnie adresu, poszedłem ja wraz z Masiewiczem drogą okrężną przez most do wsi Drażdzewo. Tam znaleźliśmy tego człowieka, który nas przyjął dosyć (zyczliwie) uprzejmie, ale oznajmił stanowczo, że kontaktu z partyzantami nie ma i tym się nie zajmuje, że owszem, miał kontakt z partyzantką za niemieckich czasów, ale to było zupełnie co innego. Po takiej rozmowie nie pozostało nam nic innego, jak szukać partyzantki na własną rękę.

Po naradzie z kolegami postanowiliśmy we dwóch, to znaczy ja z Masiewiczem Henrykiem, udać się w nocy do lasu, to może natkniemy się na jakiś patrol lub placówkę partyzancką. Podobne próby nie dały żadnych rezultatów. Wtedy po naradzie postanowiliśmy się rozdzielić: Jankowicz wraz z Rodziewiczem mieli pojechać do Szczytna i dowiedzieć się, co słychać, a reszta pozostałych miała się dostać piechotą do Ostrołęki i znaleźć na razie tam jakieś locum, aby następnie wspólnie poszukać partyzantów. Rzeczy, które posiadaliśmy, oprócz koców, zakopaliśmy w ziemi, robiąc na tym miejscu rodzaj nagrobka, a na wierzchu jego umieściliśmy czapkę harcerską oraz dwie łopatki i automat niemiecki, który mieliśmy przy sobie. Po naznaczeniu terminu spotkania, to znaczy za tydzień, na stacji Jastrząbka, Jankowicz i Rodziewicz poszli do pociągu, a myśmy skierowali się według mapy na przełaj do Ostrołęki. Jakimi drogami i przez jakie wsie myśmy maszerowali, teraz bez mapy nie mogę sobie przypomnieć. Nocowaliśmy po wsiach, powołując się na nasz harcerski dokument. Wędrówka nasza trwała około pięciu dni. Po przybyciu do Ostrołęki udaliśmy się do hufcowego z prośbą o znalezienie dla nas

pomieszczenia. Hufcowy, będąc nauczycielem w szkole, znalazł dla nas locum w bursie, gdzie otrzymaliśmy pokój na przeciąg jednego miesiąca. W dzień, dla upozorowania faktu, że poszukujemy teren na obóz, wychodziliśmy za miasto omawiać swoje położenie. W oznaczonym terminie Masiewicz Henryk wraz z Mastalerkiem Jerzym udali się pociągiem do stacji Jastrząbka, aby spotkać się z Jankowiczem Romualdem i Rodziewiczem Franciszkiem. Spotkanie nastąpiło wieczorem, tego samego dnia, a powrócili wszyscy razem do Ostrołęki w nocy. Ze zdanych przez nich relacji wynikało, że nie ma po co wracać do Olsztyna, gdyż możemy wpaść, a pozostawać w Ostrołęce również nie można było. Wtedy na pomysł wpadł Masiewicz Henryk, aby udać się do Gdyni i dostać się na jakiś obcy okręt i w ten sposób wyjechać za granicę.

Pomysł ten z początku spotkał się z opozycją, a następnie został przyjęty przez wszystkich. Po naradzie postanowiliśmy sprzedać posiadające[!] już zbędne koce i trochę bielizny. Sprawy sprzedaży załatwił Mastalerek wraz z Dudkiem, oni sprzedali to zapoznanym przez siebie dziewczętom, a za uzyskaną gotówkę postanowiliśmy jechać do Gdyni.

Niestety, kwota, jaką uzyskaliśmy ze sprzedaży swych rzeczy, okazała się za małą, tak że za uzyskane pieniądze dojechaliśmy ledwie do Warszawy. W Warszawie postanowiliśmy sprzedać wieczne pióra i mój zegarek. Sprzedaży dokonał Jankowicz Romuald, za to uzyskaliśmy kilka tysięcy złotych (dokładnie sumy nie pamiętam). Mając pieniądze w kieszeni, już nic nam nie stało na drodze i przybyliśmy szczęśliwie do Gdyni. Ja wraz z Masiewiczem udaliśmy się do Polskiego Czerwonego Krzyża, aby uzyskać pokoje noclegowe. Z powodu braku miejsca i pieniędzy wynajęliśmy trzy łóżka, na których spało nas 6-ciu. Na drugi dzień, pamiętając adres, udałem się do swego wujka, który ma swój własny kuter rybacki. Przedstawiłem mu, że jestem jeszcze wraz z pięcioma harcerzami i poszukuję terenu na obóz, oraz że nie mamy gdzie się podziać. Ponieważ wujek miał małe mieszkanie i nie mógł nas przyjąć, poradził nam, abyśmy się udali do Domu Harcerza. Na prośbę moją, aby nas przewiózł po morzu kutrem, gdyż chcemy zobaczyć połów ryb, odpowiedział, że chętnie, ale będziemy musieli uzyskać zezwolenie organów W[ojsk] O[chrony] P[ogranicza]. Postanowiliśmy przeto starać się o pozwolenie wyjazdu kutrem na morze oraz jakieś locum w Domu Harcerza. Pomieszczenie otrzymaliśmy dopiero w Domu Harcerze, bo harcerze oddali swój dom na mieszkanie dla ludzi, którzy ucierpieli dotkliwie w pożarze. Udaliśmy się do Kapitanatu Portu, aby nam udzielił zezwolenia na zwiedzenie portu, potrzebne nam to było w celu zorientowania się co do możliwości dostania się na obcy okręt. Po pozytywnej odpowiedzi zwiedziliśmy port. Przekonałiśmy się tam, że niemożliwością jest dostanie się na obcy okręt stojący w porcie, dlatego nie pozostawało nic innego, jak zwrócenie uwagi na kutry rybackie. Plan był jasny. Wypłynąć na morze i prosić rybaków o zawiezenie nas do Szwecji, Danii lub do strefy angielskiej, w razie odmowy z ich strony — zmusić ich, a w razie i to nie pomoże — opanować kuter związując rybaków, a po przybyciu do lądu obcego, rybaków wraz z kutrem puścić z powrotem. Dlatego najważniejszą rzeczą w tej chwili było pozwolenie wypłynięcia kutrem na morze. Niestety WOP zwlekał. Załatwialiśmy najrozmaitsze formalności, czekaliśmy, obawiając się, aby WOP nie skomunikował się z Olsztynem, bo wtedy byłaby „wsypa”. W rezultacie pozwolenia takowego nie uzyskaliśmy.

Zwróciliśmy uwagę na Puck, ponieważ podobno tam przyjeżdżali[!] kutry rybackie ze Szwecji i Danii, ale ponieważ Puck leży w Zatoce Gdańskiej i istniała możliwość kontroli morskiej, zaczęliśmy szukać portu rybackiego od razu z dostępem na pełne morze.

Najodpowiedniejszym i najbliższym portem okazała się Łeba. Nie widząc innego wyjścia, udaliśmy się do Lęborka, gdzie był Hufiec Harcerzy. Tam zgłosiliśmy się do hufcowego, przedstawiając się tak jak zwykle, że jesteśmy harcerzami z Warmińsko-Mazurskiej Chorągwi Harcerzy, to znaczy z Olsztyna i poszukujemy terenu na obóz w okolicach Łeby. Po otrzymaniu odpowiednich wskazówek co do terenu, przenocowaliśmy w Domu Harcerza i na drugi dzień z rana pojechaliśmy do Łeby. Tam, po zgłoszeniu się u drużynowego otrzymaliśmy pomieszczenie w miejscowym Domu Harcerza. Port rybacki mieliśmy naprzeciwko. Z miejsca zaczęliśmy przeprowadzać wywiad portu i ustaliliśmy co następuje: Straż portowa podobnie[!] posiada zepsutą łódź motorową oraz że wartownik jeden chodzi koło kapitanatu niedaleko mola, a drugi znajduje się na wieży obserwacyjnej. Kutry rybackie zaraz po połowie uzupełnia się w paliwo i żywność, aby być każdej chwili gotowym do nowego połowu. Plan był podobny jak w Gdyni, tylko z tą różnicą, że gdy się nie da dostać dobrowolnie na kuter, to ukryjemy się w nim, pod pokładem, w zwojach sieci rybackiej.

Ja w tym czasie rozchorowałem się na krzyż i dostałem tak zw. ischiasu do tego stopnia, że nie mogłem wcale chodzić, to wpłynęło ujemnie na chłopców i przedłużenie naszego oczekiwania. Ale najistotniejszą rzeczą to był przez cały czas trwający sztorm, uniemożliwiający wyjazd kutrów na pełne morze. Czekaliśmy przez cały tydzień w Łebie, pieniądze wyczerpały się, święta wielkanocne nadchodziły, a my nie mogliśmy czekać i odkładać wyjazd aż po świętach, bo takie czekanie było zbyt ryzykowne i rzucało się każdemu w oczy. Nie mając wyjścia, musieliśmy natychmiast wyjechać. Na zakończenie spróbowaliśmy jeszcze jednego triku. Poprosiliśmy w jednym z miejscowych urzędów o napisanie na maszynie raportu z wyników poszukiwania terenu na obóz. Raport ten rzekomo mieliśmy wysłać do Komendy Chorągwi. Gdy pozwolili nam skorzystać z maszyny do napisania, zacząłem pisać uprzednio przygotowany tekst dokumentu. Treść następująca: że my, to znaczy członkowie naszej „wyprawy”, należymy do HSI (Harcerskiej Służby Informacyjnej) i jesteśmy współpracownikami pisma harcerskiego „Na Tropie”. Dokument w ten sposób zredagowany dawał nam możliwość występowania jako korespondenci wyżej wymienionego czasopisma. W ten sposób chcieliśmy się wydostać na morze. Ale i ta ostatnia nadzieja zawiodła. Na morze nas nie wypuszczono, a najważniejszą przyczyną tego był sztorm. (Zapomniałem nadmienić, że wyżej wymieniony dokument był podobnie sfabrykowany jak poprzednio, to znaczy, że pieczętka była złożona z czionek gumowych, jakie przy sobie posiadaliśmy).

Po bardzo burzliwej naradzie, odbywającej się w pobliskim lasku, rozdzieliliśmy się na dwie części. Jedna część, w skład której wchodziłem ja, Jankowicz Romuald, Rodziewicz Franciszek oraz Dudek Zbigniew postanowiła zrezygnować z wyjazdu za granicę i udać się na Dolny Śląsk, a druga część, w skład której weszli Masiewicz Henryk wraz z Mastalarkiem Jerzym chciała czekać na okazję, ewentualnie szukać innego portu rybackiego. Chcieliśmy z miejsca rozdzielić się i szukać sami dróg, ale na przeszkodzie stanął brak gotówki. Były robione próby sprzedaży pozostałych dwóch zegarków, to znaczy zegarków Masiewicza i Jankowicza, ale nikt nie miał przed świętami pieniędzy i nikomu nie mogliśmy sprzedać. Zdecydowaliśmy się udać do Lęborka, aby od Hufca pożyczyć pieniądze. Z braku gotówki odległość 30 km, oprócz Masiewicza i Mastalarka, przebywaliśmy pieszo, gdyż ci ostatni przyjechali do Lęborka na gapę, pociągami. W Lęborku udaliśmy się do hufcowego z prośbą o pożyczanie pieniędzy, motywując tym, że nam zabrakło, a chcieliśmy na święta wielkanocne powrócić do domów. Niestety,

hufcowy osobiście nie miał pieniędzy, a z kasy Hufca nie mógł pożyczyć, gdyż była pusta. Zapytaliśmy się wtedy, czy któryś z księży nie mógłby pożyczyć. To hufcowy powiedział, abyśmy się udali do dziekana, to może pożyczy. Tak też zrobiliśmy. Projekt pożyczania pieniędzy od księdza wypłynął od Jankowicza Romualda. Dlatego też on, jako projektodawca, no i ja, jako d-cy wyprawy, udaliśmy się do księdza dziekana. Po przedstawieniu jemu całej sprawy, to znaczy, że jesteśmy harcerzami z Olsztyna i poszukujemy terenu na obóz; w czasie naszego pobytu w Łebie zabrakło nam pieniędzy i nie mamy skąd pożyczyć, a chcielibyśmy na święta powrócić do domu. Zgodził się nam dać pięć tysięcy złotych, za co daliśmy mu pozostałe dwa zegarki Masiewicza i Jankowicza, wartość których o wiele przewyższała sumę, jaką pożyczaliśmy od księdza dziekana z Łęborka. Po otrzymaniu pieniędzy jeszcze wszyscy razem udaliśmy się do Gdańska, gdzie rozdzieliliśmy się na dwie wyżej wspomniane części.

Pierwsza część, w skład której wchodziło nas czterech, udała się do Bystrzycy na Dolny Śląsk, a druga część, to znaczy Masiewicz i Mastalerek miała pozostać na Wybrzeżu i szukać nadal szczęścia dostania się na obcy statek, ewentualnie kuter. We Wrocławiu jeszcze raz rozdzieliliśmy się, bo Jankowicz pojechał do jakiejś miejscowości na Dolnym Śląsku, gdzie mieszkała jego ciotka, aby znaleźć tam miejsce. Ja natomiast przyjechałem do Bystrzycy z Dudkiem. Umieściłem ich [!] w Domu Harcerza, gdzie mieszkał już harcerz Pająk Romuald podobno z Kielc, sam zaś poszedłem do wujka. Niestety, wujek mnie nie chciał przyjąć, bo sądził, że pogodziłem się z rodzicami i jestem w Olsztynie, a ja przyjechałem z powrotem do Bystrzycy. Pobylem u wujka parę dni i musiałem się wyprowadzić, przeprowadziłem się do Domu Harcerza. W tym czasie przyjechał od swej ciotki Jankowicz Romuald i powiedział, że tam nie może się zatrzymać, a tym bardziej kogoś z sobą wziąć. Na drugi dzień niespodzianie przyjechała nasza druga część, to znaczy Masiewicz i Mastalerek. Jak się okazało, oni też już nie mieli pieniędzy, część drogi przeszli pieszo, a część przejechali na gapę, na skutek czego kontroler w pociągu zabrał Masiewiczowi dokumenty.

Sytuacja była poważna. Sześciu chłopców niespodzianie przyjechało do małego miasteczka, zamieszkało w Domu Harcerza bez zameldowania, nie mając żadnych środków do życia. Sprawa wydawała się bardzo podejrzaną. Zdając sobie całkowicie sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa, postanowiliśmy w jak najkrótszym czasie znaleźć jakieś pewne locum i z Bystrzycy wyjechać. Pierwszymi, którzy wyjechali, to był Mastalerek Jerzy i Dudek Zbigniew. Udali się do Warszawy, oczywiście na gapę, z zamiarem wstąpienia do brygady S[łużby] P[olsce]. Następnie z zamiarem takim nosił się Rodziewicz Franciszek.

Kiedy kolega Pająk Romuald, organizując wycieczkę harcerską do Międzygórza, zwrócił się do nas z propozycją wzięcia udziału w tej wycieczce, zgodził się na to tylko Masiewicz Henryk i ja. Rodziewicz Franciszek postanowił w tym czasie wyjechać do Warszawy, aby również wstąpić do brygady SP, a Jankowicz udał, że się źle czuje i chce wypocząć. Jakie było nasze zdziwienie po powrocie z wycieczki, gdy nie zastaliśmy Jankowicza w Domu Harcerza. Mali harcerze, którzy kręcili się po podwórku, stwierdzili, że Jankowicz zaraz po naszym odjeździe usilnie starał się o wypożyczenie [!] 400 zł i prawdopodobnie udał się z tym do księdza Śmietany, którego znał z pierwszego naszego pobytu w Bystrzycy. Z jeszcze większym zdumieniem musieliśmy stwierdzić, że wraz z Jankowiczem zniknęły dwa swetry, kilka krawatów oraz spodnie. Ww. przedmioty były własnością naszego kolegi Pajaka Romualda, zginęło również szereg drobniejszych

przedmiotów, będących naszą własnością. Harcerze stwierdzili, że Jankowicz Romuald jeszcze nie wyjechał, gdyż jak widzieli, do pociągu wsiadł tylko Rodziewicz Franciszek, który się uprzednio z nami pożegnał. Niewiele myśląc, biegniemy wszyscy na dworzec, to znaczy ja, Masiewicz Henryk, Pająk Romuald i jeden ze starszych harcerzy, który się w sytuacji jeszcze dobrze nie orientował. Wbiegliśmy na dworzec, okazał się zupełnie pustym, przeszukaliśmy, okazało się, że Jankowicza nigdzie nie ma. Dla naradzenia się między sobą stanęliśmy pośrodku poczekalni. W ten sposób [!] nieoczekiwanie wszedł do poczekalni Jankowicz Romuald i ujrawszy nas, bardzo zmieszany się i następnie chciał się cofnąć, ale myśmy obstąpili go i kazaliśmy iść z nami do Domu Harcerza. Ku naszemu zdziwieniu, bez najmniejszego oporu, z opuszczoną głową, poszedł z nami. Tam myśmy go rozebrali i okazało się, że rzeczy, których [brak] stwierdziliśmy i których jeszcze nie zdążyliśmy stwierdzić, że jest brak, znalazły się w komplecie u Jankowicza Romualda. Po zabranii mu skradzionych przez niego rzeczy kolegi Pajaka i nasze [!], wywstydziliśmy [!] go za takie postępowanie i chcieliśmy zdjąć krzyż harcerski, ale później rozmyśliliśmy się, nie chcąc mu robić takich wielkich przykrości. Po chwili Jankowicz poszedł z powrotem na dworzec. Przekonaaliśmy się, że mieliśmy kolegę zwykłego kryminalistę. Pamiętałem i ja swój postępek, ale wstydzilem się przed sobą samym za fałszowanie wtedy podpisu na drukach, które mi Jankowicz dał i jeśli kiedy później robiłem jakieś machinacje, to znaczy podrabianie dokumentów, to robiłem to zawsze tylko z myślą o organizacji, a nigdy z korzyścią dla samego siebie. Jeśli chodzi następnie o Jankowicza to w późniejszych czasach nadal skuteczniał podobne machinacje, co w dalszej części niniejszego oświadczenia postaram się ujawnić.

Sądziłem, że Jankowicz uda się do swej ciotki na Dolny Śląsk, Masiewicz Henryk wraz z Pajakiem Romualdem udali się również do jego ciotki, ale Jankowicza tam nie zastali, a odwrotnie, Jankowicz nie mógł się tam nigdy pokazać, bo jak się okazało, będąc tam poprzedni raz, ostemplował czysty papier, wykradając pieczętkę szkoły powszechnej z biurka oraz kradnąc pieniądze i jakieś drobne przedmioty (dokładnie tego nie pamiętam). Po takich przygodach nasz kolega Pająk Romuald, któremu zasadniczo zawdzięczaliśmy mieszkanie w Domu Harcerza, zaczął się do nas odnosić bardzo nieufnie, zresztą zupełnie słusznie, jeśli jeden z naszych kolegów w tak podstępny sposób okradł go. Niesłuszna ta podejrzliwość w stosunku do nas uzewnętrzniła się, sprawiając i nabawiając nam dużo kłopotów po przeniesieniu z Bystrzycy do Ścinawki Średniej, co następnie będę zeznawał.

Po paru dniach zagadka, dlaczego Jankowicz nie wyjechał wraz z Rodziewiczem, została wyjaśniona. Jankowicz nie posiadał pieniędzy, a ponieważ nie chciał mu nikt pożyczyć, udał się do księdza Śmietany, ale księdza w domu nie było, kilkakrotnie tam był, ale za każdym razem księdza nie zastał. Rodziewicz, nie czekając na niego, pojechał, a Jankowicz spóźnił się na pociąg. W rezultacie zastał ks. Śmietanę, który zupełnie z dobrą wiarą pożyczył mu 400 zł, a Jankowicz z pieniędzmi poszedł na stację po bilet z zamiarem pojechania nocnym pociągiem. Jankowicz nie wiedział o tym, że my wcześniej wrócimy z wycieczki z powodu ulewnego deszczu i wpadł na dworcu, kiedy najmniej się tego spodziewał.

Po wyjeździe ww. kolegów pozostaliśmy tylko we dwóch, to znaczy Masiewicz Henryk i ja. Mieszkaliśmy w Domu Harcerza wraz ze swym kolegą Pajakiem Romualdem. Postanowiliśmy założyć mały warsztatik introligatorski. Ksiądz Śmietana, mając dużo książek zniszczonych, zaczął nam dawać do oprawy. W ten sposób introligatorstwo stało

się naszym środkiem utrzymania. Dochód był dosyć mały, nawet tak mały, żeśmy nie mogli zdobyć się, aby opłacić stołówkę i stamtąd brać obiady. Próbę tę robiliśmy, ale nie dała pomyślnych wyników. Nieraz jadalśmy tylko raz dziennie i to przeważnie chleb lub bułeczki i mleko albo gotowaliśmy kisiel z mąki kartoflanej i cukier[!], a sok dostaliśmy od drużyny harcerskiej.

Po rozmowie z kolegą Pająkiem, który objął komendę nad tutejszymi drużynami, postanowiliśmy zorganizować również drużyny harcerskie. Masiewicz Henryk zaczął organizować w Starej Bystrzycy, ja natomiast w Gorzanowie, 7 km od Bystrzycy. Zaczęliśmy urządzać zabawy harcerskie i dochód z nich szedł na organizujące się drużyny. Pozostałości po takiej zabawie w postaci kanapek, chleba, bułek itp. konsumowaliśmy sami, w ten sposób zabawy były jak gdyby pośrednim środkiem utrzymania. Nieraz harcerze przynosili nam kaszę lub mąkę, albo robiliśmy wycieczki i pozostałości produktów, jak mąka i kasza, za zgodą uczestników wycieczki, zabieraliśmy dla siebie. W ten sposób przebyliśmy długie trzy miesiące, to znaczy kwiecień, maj i czerwiec w Bystrzycy Kłodzkiej, a środki utrzymania były wyżej wymienione. Przez cały czas nie wyzbyliśmy się myśli, a przeciwnie nieraz omawialiśmy, jakby organizacja nasza zaczęła przejawiać jaką taką działalność, omawialiśmy strukturę, popełniając błąd, bo sądziliśmy, że przede wszystkim zależy wszystko od struktury. Przyjęliśmy tak zw[any] system piątkowy, a na przeszkodzie naszej organizacji stanęło[!] przede wszystkim brak funduszy nie tylko dla organizacji, ale dla nas samych, abyśmy się mogli spokojnie zająć samym organizowaniem.

W tym czasie utrzymywaliśmy stałą łączność z księdzem Śmietaną, czy to z powodu oprawiania książek, bądź też z powodów czysto harcerskich. Każde nasze spotkanie staraliśmy się wykorzystać na dyskusję, ewentualnie czegoś się dowiedzieć, co byłoby dla nas cennym przy organizowaniu. Tematy były najrozmaitsze, ale opierały się przeważnie o politykę. Dotyczyły stosunków między Rosją a Polską i odwrotnie, oraz spodziewającej się[!] wojny i nasze w niej stanowisko[!]. Jasne jest, że w tym wypadku mieliśmy zająć wrogi kierunek w stosunku do Zw. Radzieckiego oraz pójść do partyzantki w celu przeszkolenia w dostawie ludzi i sprzętu na front. Po każdej takiej rozmowie nabieraliśmy otuchy i przemyślaliśmy możliwość wojny. W czasie jednej z takich rozmów ksiądz dał nam mały powielacz, który miał służyć dla celów harcerstwa i naszej „Iskry”. Niestety, powielacz ten nie nadawał się do użytku, ponieważ bardzo słabo odbijał i niewyraźne pismo dawał.

Zaczęliśmy poszukiwania za bronią. Zdawaliśmy sobie sprawę, że każda organizacja konspiracyjna posiada broń, a myśmy jej nie posiadali. Rozpytywaliśmy harcerzy, którzy byli dla nas dobrze usposobieni i przynosili nam nieraz części radiowe, z których chcieliśmy zbudować radio. A pewnego razu jeden z małych harcerzyków przyniósł pistolet niemiecki dla Masiewicza Henryka. Pistolet był firmy „Saner”, kaliber 7.65, bez naboju. Harcerz ten podobno posiadał go od 1945 r. i schował, aby sobie trochę postrzelać, jak będzie miał amunicję. Nazwiska ani adresu tego harcerza nie znam i nie byłem w tym czasie w Domu Harcerza, kiedy pistolet został doręczony. Dwa naboje do tego pistoletu zdobyłem w późniejszym czasie. Jeden dał mi Jankowicz Romuald, a drugi znalazłem przypadkowo na ulicy naprzeciw mego domu. Na razie pistolet był bez amunicji i żadne starania w celu jej zdobycia nie dały rezultatów.

Pod koniec czerwca drużyny nasze harcerskie zaczęły szykować się do obozu. Ostatnie odprawy przedobozowe i 27 czerwca 1948 r. wyjechaliśmy na obóz, nad morze, koło

miejsowości Darłowa[!]. Jadąc na obóz, cieszyliśmy się, że bez kłopotów przez miesiąc będziemy mieli dobre żywienie. O organizacji na obozie nie myśleliśmy, gdyż byliśmy pochłonięci samym obozem i szkoleniem swych drużyn. Zapomniałem nadmienić, że będąc w Bystrzycy, w maju, mieliśmy jechać do Czechosłowacji na zlot skautów, ale z powodu ograniczonej ilości osób także nasze drużyny harcerskie nie mogły pojechać, choć były przyszykowane. Dlatego Masiewicz i ja, widząc, że będzie wielkie niezadowolenie, jeśli pojedziemy sami, woleliśmy wcale nie jechać.

Po przyjeździe z obozu zaczęliśmy się rozglądać za jakimś pomieszczeniem i konkretną pracą. W tym czasie z Bystrzycy wyjechał ksiądz Śmietana, pożegnaliśmy się z nim i postanowiliśmy się jeszcze kiedyś w przyszłości spotkać, prawdopodobnie już po wojnie. W tym czasie będąc w Kłodzku u Hufca[!], na odprawie poobozowej, spotkałem się z członkiem tego Hufca (nazwiska nie pamiętam, ale zdaje się, że nazywał się Szczyński). W toku rozmowy nadmieniłem, że szukamy pracy i chcemy z Bystrzycy wyjechać. Wtedy on zaproponował, abyśmy się udali z nim do Ścienawki Średniej i tam zamieszkali w klasztorze o.o. jezuitów. Po przyjeździe do Bystrzycy powiedziałem o tym Masiewiczowi, któremu ten projekt podobał się, ponieważ i tak z Bystrzycy musieliśmy się wyprowadzić, gdyż mieszkaliśmy i zameldowani byliśmy tymczasowo. Udałem się po paru dniach do Ścienawki Średniej i tam, według otrzymanego adresu, trafiłem do tego kolegi z Hufca. Z nim razem poszliśmy do klasztoru. Tu ja poczekałem w świetlicy harcerskiej, a kolega ten załatwił całą rzecz z księdzem. Następnie ksiądz ten wszedł, przedstawiłem mu się. Był to ksiądz Szelaąg. Po krótkiej rozmowie, do naszego nowego miejsca skierował nas do ojca rektora, który zdecydował o naszym przyjęciu. Po powrocie do Bystrzycy powiedziałem Masiewiczowi o pomyslnym załatwieniu naszej sprawy. Po paru dniach spakowaliśmy nasze rzeczy i nadaliśmy je na bagaż oraz sami pojechaliśmy do Ścienawki Średniej. Wszystkie te transakcje załatwiliśmy w zupełnej tajemnicy. Tajemnicę zachowaliśmy na wypadek zainteresowania się naszym dotychczasowym zameldowaniem tymczasowym i ewentualnym poszukiwaniem. Wyjechaliśmy w czasie nieobecności kolegi Pajaka Romualda. Jednak stare podejrzenie rzucone przez naszego kolegę Jankowicza Romualda nadal było aktualne, bo po kilku dniach przyjeżdża do klasztoru Pajak Romuald z pretensją, że myśmy go okradli. Oczywiście rzecz bardzo nieprzyjemna. Jeden z naszych kolegów go okradł, dlaczego nie mogliby drudzy tego zrobić. Romuald Pajak zameldował o tym ojcu rektorowi i w obecności księdza Szelaąga robi u nas rewizję. Niestety, nie znajduje u nas nic oprócz paru harcerskich książek z jego drużyny, które między naszymi książkami przypadkowo przywieźliśmy. Ale to nie koniec na tym. Chce koniecznie abyśmy z powrotem wrócili do Bystrzycy, gdyż rzekomo jego pożyczony, olbrzymich rozmiarów koc, na połowę rozdzieliłiśmy i jedną połowę zabraliśmy. Oczywiście natychmiast z nim pojechaliśmy. Okazało się, że po jego przyjeździe do Bystrzycy, gdy nie zastał nas, a ujrzał bałagan, sądził, że zrobiliśmy podobnie, jak zrobił Jankowicz w swoim czasie. Udał się natychmiast na stację i sprawdził, dokąd nadaliśmy bagaż i w ten sposób ustalił nasz adres. Po powrocie położył się spać i nakrył się kocem, który złożony był w poprzek i dlatego wydawał mu się za krótki. Sądząc, że myśmy mu odcięli połowę, widząc zmniejszoną ilość książek harcerskich, również posądził nas o kradzież, zapominając o tym, że część książek była naszą własnością, tylko i jedynie przez pomyłkę wzięliśmy między swoimi kilka książek jego. Po wyjaśnieniu w ten sposób sprawy przeproszał nas gorąco za niesłuszne podejrzenie w stosunku do nas i powrócił z nami razem do klasztoru, aby wyjaśnić swój

błąd. Sprawa była bardzo nieprzyjemna dla obu stron, ale dobrze skończyła się i została wyjaśniona.

W klasztorze ja objąłem funkcję wychowawcy chłopców w znajdującym się tam Domu Chłopców, a Masiewicz miał się zajmować sprawami technicznymi: reperacją światła oraz dostawą mleka. Za swoją pracę mieliśmy otrzymywać wyżywienie, mieszkanie, w razie potrzeby ubranie oraz do 3000 zł na książki do nauki.

W klasztorze nie utrzymywaliśmy specjalnie z nikim kontaktu. Zналиśmy tylko ojca rektora, księdza Szeląga, brata Zielińskiego, który zajmował się ogrodem. Ksiądz Szeląg zajmował się chłopcami oraz częściowo administracją, następnie sekretarz (nazwiska nie pamiętam), który był dawnym porucznikiem Armii Krajowej z czasów okupacji niemieckiej oraz chłopcy, których wychowywaliśmy. Jak wyżej zaznaczyłem, z nikim kontaktem, ani w zażyłość nie wchodziliśmy, Masiewicz jedynie nieco zbliżył się do sekretarza, z którym czasami grał w karty, w czym i ja następnie wziąłem udział. Wszystko byłoby dobrze, ale ksiądz Szeląg zaczął nam przypominać o odcinkach zameldowania. Myśmy wykręcali się, jak mogli i staraliśmy się tę sprawę odwlec. Jasnym było, że Masiewicz, pod zmienionym nazwiskiem na Orłowski, nie mógł mieć odcinka zameldowania, a ja, choć miałem, ale nie chciałem dawać ze względu na kolegę i na nasz jednakowy los. W klasztorze nie mogliśmy zameldować się i pozostać na tymczasowych odcinkach zameldowania, a tymczasem ksiądz Szeląg domagał się kategorycznie, abyśmy swe odcinki zameldowania wyrobili jak najprędzej. Nie pozostawało nam nic innego do roboty, jak powiedzieć prawdę. W toku rozmowy zwierzyliśmy się ze swego kłopotu. Powiedzieliśmy księdzu Szelągowi, że należymy do harcerskiej organizacji „Iskra” i z powodu „wsypy” przyjechalibyśmy na te tereny. Również z tego powodu nie posiadamy odcinków zameldowania, ewentualnie wymeldowania. Ks. Szeląg wtedy orzekł, że nie będzie mógł nas trzymać bez zameldowania w klasztorze. Na drugi dzień ksiądz Szeląg ponowił swoją poprzednią wypowiedź, że nie chce przez nas narażać klasztoru oraz Domu Chłopców. Jasno z tego wynikało, że musimy w jak najkrótszym czasie opuścić nasze dotychczasowe miejsce pobytu.

Po paru dniach pobytu, od chwili tej rozmowy, a około trzech tygodni od chwili naszego tam zamieszkania, opuściliśmy progi klasztoru o.o. jezuitów w Ścienawce Średniej i udaliśmy się do Olsztyna z zamiarem wyszukania tam lepszego locum i założenia wreszcie prawdziwej organizacji. Pieniądze na drogę pożyczaliśmy od ojca rektora w wysokości 3000 zł, czy też 3500 zł, dokładnie nie pamiętam. Jak wyżej wspomniałem, mieliśmy i drugi cel, mianowicie założenie organizacji. Z tą myślą nigdy nie rozstawaliśmy się. Zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę, że dla założenia organizacji potrzebne są fundusze, a tych myśmy nie posiadali. Zostawała jedna droga — dokonać [!] akcję. Pamiętaliśmy jeszcze pełne zapału projekty Jankowicza, aby dokonać akcję na samochód jadący z Warszawy do Związku Rewizyjnego w Olsztynie i rzekomo wiozący pieniądze. Broń na akcję postanowiliśmy zdobyć metodą rozbrojenie funkc. Milicji Obywatelskiej, tym jednym pistoletem, jaki posiadaliśmy, oczywiście bez amunicji. Wiedzieliśmy o tym, że na terenie Olsztyna będziemy mieli trudności z maszyną do pisania, dlatego w klasztorze jeszcze pożyczaliśmy maszynę i na niej napisaliśmy dwa blankiety pokwitowania na odbiór gotówki. Wtedy to po raz pierwszy zastosowałem nazwę HOP, czyli Harcerska Organizacja Podziemna „Iskra”. Wyżej wymieniony blankiet opatrzyliśmy pieczętką okrągłą wyciętą przeze mnie z ołowiu. Treść tej okrągłej pieczętki była następująca „HOP Armia Krajowa”, a wewnątrz, w kole narysowana była

kotwica w kształcie liter „IW”, jako symbol, że „Iskra walczy”. W tym też kole był pełen napis „Iskra”. Do odbicia pieczętki używaliśmy zielonego tuszu, który już posiadaliśmy. Blankiet pokwitowania zaopatrzyłem w podpis „kpt. Brzoza”. W ten sposób zrobione dwa takie blankiety wzięliśmy ze sobą do Olsztyna, licząc na dokonanie jakiegokolwiek akcji, nie tylko na samochód, ale na coś, co by przyniosło jakikolwiek dochód dla organizacji.

Po przyjeździe do Olsztyna udaliśmy się wraz z Masiewiczem Henrykiem bezpośrednio do Jankowicza Romualda. Ponieważ było to jeszcze rano, Jankowicz spał, gdy nas zobaczył, przestraszył się, pamiętając swój samotny wyjazd z Bystrzycy. Widząc nas jednak raczej dobrze ustosunkowanych do niego, nabrał z miejsca animuszu. Powiedzieliśmy mu, że szukamy miejsca, inaczej mówiąc pewne locum, oraz że chcemy założyć nadal organizację, zaczynając od akcji, aby zdobyć tym duszę[!]. Powiedział nam wtedy Jankowicz, że razem z Rodziewiczem zorganizowali drużynę i odebrali przyrzeczenie. W skład jej mieli wchodzić Kowalski Wiesław i Lopek (nazwiska nie pamiętam) oraz jeździli po nasze rzeczy zakopane koło stacji Jastrząbka. Rzeczy podobno zostały rozkradzione, przywieźli tylko zardzewiały automat niemiecki MP, wzór 43, niezdatny do użytku i dali go Kowalskiemu Wiesławowi, który jak później dowiedziałem się, wyrzucił go, bojąc się trzymać.

Jankowicz, pamiętając aferę, jaką zrobił w Bystrzycy, starał się wszystkimi środkami ją zatuszować. Nie liczył się z pieniędzmi, karmiąc nas, a następnie dał Masiewiczowi i mnie po 5000 zł dla naszego wykorzystania, ale miało się liczyć, że dał te pieniądze dla organizacji. Na pytanie nasze, skąd ma pieniądze, powiedział, że z drużyną urządził zabawę oraz że puścił w obieg na zabawie lewe bilety, a z takiego uszczerbku jak dziesięć tysięcy złotych to się wygrzebie. Oszczersztwem jest natomiast, że myśmy, to znaczy ja z Masiewiczem, pod groźbą pistoletu rzekomo wymusili od niego pieniądze i że ja kazałem puszcząć na zabawie lewe bilety, ponieważ przyjechaliśmy już po zabawie.

Będąc parę dni w Olsztynie, nocowaliśmy na polu w stogu siana albo ewentualnie na niedziele wyjeżdżaliśmy do Olsztynka i Nidzicy, przesiadując nocą na stacji w poczekalni. W tym czasie matka Jankowicza powiedziała nam, że posiadamy powołanie na księży. Z tego powodu udaliśmy się do Niepokalanowa, ale tam przyjmowali tylko na zakonników. Poradzili nam, abyśmy się udali do Warszawy do Seminarium Duchownego, ale myśmy zrezygnowali i powrócili do Olsztyna.

Zapomniałem nadmienić, że jadąc z Dolnego Śląska do Olsztyna, spotkaliśmy na dworcu w Warszawie Rodziewicza Franciszka w uniformie P[owszechnej] O[rganizacji] S[łużba] P[olsce], od którego dowiedzieliśmy się o losie naszych pozostałych dwóch kolegów, którzy tak jak i Rodziewicz wstąpili do PO „SP” oraz w Olsztynie pytaliśmy Jankowicza, a w późniejszym czasie Rodziewicza, czy zwrócili pieniądze pożyczone od księdza dziekana w Łęborku w marcu 1948 r., na co dali pozytywną odpowiedź. Jeszcze jedno zapomniałem nadmienić, gdy Jankowicz powrócił z Bystrzycy, udał się do rodziców Masiewicza, mówiąc, że jest razem z nim i żeby dali paczkę, to on ją zawiezie. Rodzice Masiewicza oczywiście dali paczkę, którą Jankowicz w całości przywłaszczył, a na zwracane uwagi i protesty Rodziewicza, który o tym wiedział, orzekł „Ty się o mnie nie martw, to nie twoja rzecz”.

W tym czasie Masiewicz Henryk parę razy przenocował w świetlicy harcerskiej u Jankowicza, a następnie zaczął nocować w domu. Ja natomiast już od kilku dni pogodziłem się i w domu nocowałem.

Masiewicz i ja zwróciliśmy się do Jankowicza z zapytaniem, gdzie można byłoby zrobić akcję i zdobyć fundusze na założenie organizacji. Jankowicz poradził, ażeby akcję dokonać na spółdzielnię w Bartągu. Według mapy ustaliliśmy miejsce akcji i poszliśmy to miejsce zobaczyć. Było to w lesie koło drogi. Jankowicz powiedział, że do spółdzielni przywożą towar z Olsztyna furmanką i pieniądze na zakup tego towaru wiozą w teczce. Wtenczas Jankowicz wraz z Masiewiczem poczekali w tym miejscu, a ja poszedłem do spółdzielni celem przeprowadzenia zwiadu. Zwiad uzyskał następujące dane: po towar do spółdzielni jeżdżą dwa albo trzy razy w tygodniu furmanką. Furmanką jeździ tylko młody furman z panienką ze spółdzielni, która wiezie teczkę z pieniędzmi. Zwykle posiada od 60 do 100 tys. złotych. Plan był jasny, należało sprowadzić w boczną drogę przejeżdżającą przez las furmankę, zabrać pieniądze, przeliczyć je i sumę wpisać na uprzednio zredagowane pokwitowanie, o którym wyżej wspomniałem. Pokwitowanie mieliśmy zostawić jako znak, że pieniądze wzięła na swe cele organizacja, a nie prywatne osoby lub oni sami, innymi słowy nie chcieliśmy narażać ani panienki ze spółdzielni, ani też tego furmana na podejrzenie. Na podobne czaty wychodziliśmy dwa czy też trzy razy i widzieliśmy przejeżdżającą furmankę, ale nie mieliśmy sumienia na nią napaść, zwłaszcza, że koło furmanki przejeżdżał na rowerze milicjant. Postanowiliśmy zaprzestać naszego czatowania i zrezygnowaliśmy z akcji.

W tym czasie przeprowadziłem kilka rozmów z Kowalskim Wiesławem i Lopkiem (nazwiska jego nie pamiętam), po których oni wycofali się z organizacji, mówiąc, że to nie ma sensu. Treścią rozmów był cel i zadania, jeszcze wtedy nie ustalone, naszej organizacji. Masiewicz, bojąc się zostać w Olsztynie, gdyż przegapił swój pobór do wojska, wyjechał na Pomorze. Ja tymczasem w dniu 19 listopada 1948 r. wstąpiłem[!] do pracy w Ubezpieczalni Społecznej w Olsztynie, w charakterze praktykanta rachunkowego.

W międzyczasie przyjechał do Olsztyna Rodziewicz Franciszek z brygady PO „SP” z Gliwic. Z Rodziewiczem i Jankowiczem w dalszym ciągu utrzymywałem kontakt, z Dudkiem Zbigniewem, który wcześniej przyjechał do Olsztyna, nie utrzymywałem bliższych stosunków. To samo dotyczy Mastalerka Jerzego, który podobno pozostał w Warszawie.

Jak wyżej wspomniałem, wstąpiłem[!] do pracy i zacząłem uczęszczać na wieczorówkę do pierwszej klasy liceum matematyczno-przyrodniczego. W końcu grudnia roku 1948 zostałem zaproszony na zimowisko do Szymflisu, urządzone przez drużynę harcerską Jankowicza. Pojechałem tam na Nowy Rok i byłem dwa dni. Poznałem tam różnych harcerzy, a między innymi Klimaszewskiego Kazimierza i Juchniewiczza Tadeusza. Na zimowisku urządziliśmy ognisko pokazowe dla miejscowej ludności, a ludzie na następnym dzień urządzili dla nas zabawę. Po powrocie z zimowiska zacząłem pomagać drużynie Jankowicza, a następnie zgłosiłem się do Komendy Hufca Harcerzy i otrzymałem pozwolenie na organizowanie drużyny młodzieżowej przy Szkole Podstawowej nr 4 w Olsztynie.

W tym czasie zacząłem kolegować z Klimaszewskim Kazimierzem, a następnie w jednej z rozmów powiedziałem mu, że istnieje konspiracyjna organizacja harcerska pod kryptonimem „Iskra” i czy chce do niej należeć. Po namyśle zgodził się na to. Wtedy skontaktowałem Klimaszewskiego z Kozłowską Haliną, która w tym czasie mieszkała w Olsztynie. Dałem im za zadanie, ażeby Klimaszewski codziennie słuchał audycji radiowych z Ameryki i Anglii i robił tygodniowy przegląd wiadomości politycznych. To samo poleciłem Kozłowskiej Halinie, z tą tylko różnicą, że wiadomości miała wylawiać

z gazet oraz z radia warszawskiego. Do pomocy w opracowywaniu tygodniowego przeglądu wiadomości politycznych podałem 10 punktów w postaci pytań, na które należało odpowiedzieć pisemnie z zebranych wiadomości politycznych wraz z własnymi komentarzami. Punkty te opracowałem sam, ale ich obecnie nie pamiętam. Tygodniowy Przegląd Wiadomości Politycznych zagranicznych, jak i krajowych potrzebny mi był, ponieważ w tym czasie razem z Rodziewiczem Franciszkiem i Jankowiczem Romualdem postanowiliśmy wznowić działalność organizacji i zacząć wydawać biuletyn oraz po to, ażeby orientować się w stosunkach międzynarodowych.

W tym mniej więcej czasie zaprosił Jankowicza Drozd Tadeusz z Sępopola, ażeby Jankowicz przyjechał wraz z kolegami i pomógł w organizowaniu zabawy harcerskiej. Do Sępopola pojechał rzeczywiście Jankowicz, Rodziewicz, ja i kilku jeszcze harcerzy i harcerek. Przed zabawą urządziliśmy kwestę na jakieś cele dobroczynne, a następnie po południu, dla propagandy, był kominek harcerski prowadzony przeze mnie. Po kominku była dopiero zabawa harcerska. Ponieważ kominek udał się i byliśmy z siebie zadowoleni, powstała myśl zorganizowania kółka artystycznego. Ja podchwyciłem oczywiście tę myśl, organizując kółko artystyczne w ramach organizującej się mojej drużyny harcerskiej. Ja wraz z Jankowiczem i Rodziewiczem zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę, że dochód, jaki by przyniosło kółko artystyczne, moglibyśmy użyć na cele harcerskiej organizacji „Iskra”. A organizacja bardzo potrzebowała funduszy, gdyż nie mieliśmy ani maszyny do pisania, ani też powielacza, a mieliśmy zamiar, jak wyżej wspomniałem, wydawać Biuletyn Informacyjny. Chociaż dotychczas nic nie robiliśmy, ale czuliśmy się nadal jako członkowie organizacji „Iskra” i liczyliśmy zawsze na to, że wznowimy swą działalność organizacyjną. Nieraz przeprowadzaliśmy długie rozmowy na ten temat.

W tym czasie przysłał do mnie list Masiewicz Henryk z prośbą, abym przyjechał w oznaczonym dniu do Malborka i spotkamy się tam na dworcu, w poczekalni. Było to, o ile sobie przypominam, gdzieś w połowie lutego 1949 r. i wypadło w niedzielę. Wyjechałem z rana pociągiem tak, że tam byłem gdzieś około południa. Tak jak było umówione, spotkałem się z Masiewiczem Henrykiem na dworcu i z miejsca poszliśmy do kina na poranek filmowy, gdyż Masiewicz był na tyle przezornym i zakupił bilety. Po poranku dopiero, mając kilka godzin czasu do pociągu, zaczęliśmy omawiać swoje sprawy. Masiewicz na zadawane przeze mnie pytania mówił, że jest gdzieś w majątku na Pomorzu, że jest mu dosyć dobrze, tylko ma dużo pracy i brak mu kolegi. Następnie zaczęliśmy omawiać panujące w danej chwili stosunki międzynarodowe oraz wnioskować z nich o terminie nadchodzącej wojny. Rozmawialiśmy o tym, że nie posiadamy broni, a chcemy zakładać organizację. Wtedy ja zwróciłem się do Masiewicza, ażeby on na następny raz przywiózł z sobą pistolet, który dostał na Dolnym Śląsku, gdyż mu nie jest potrzebnym, a w organizacji niech będzie chociażby dla bezpieczeństwa i lepszego samopoczucia członków Komendy, ewentualnie na wypadek jakiejś łatwej akcji lub rozbrojenia. Masiewicz, chociaż niechętnie, ale w końcu dał się przekonać i obiecał przywieźć pistolet na następne spotkanie. W dalszym ciągu rozmowy omawialiśmy, jak zorganizować „Iskrę”, ażeby ruszyć jakąś konkretną pracą. Chodziło o strukturę organizacyjną, która w dalszym ciągu nie była ustaloną i ciąglej podlegała zmianie. Niemniej jednak, zachowując system piątkowy, wzorowaliśmy się na strukturze Komendy Chorągwi Harcerzy, gdyż organizacja nasza była wyłącznie harcerską. Chodziło również o wynalezienie jakiejś metody pracy. Nad tymi metodami mieliśmy pomysłów każdy oddzielnie, a następnie wspólnie, na następnym spotkaniu uzgodnić. Następnie

prosił mnie Masiewicz, ażebym kupił paczkę ołówków twardych, gdyż takowych nie posiada i nigdzie nie może dostać. Dał mi na nie pieniądze oraz adres swój, ażeby je przysłać. Adresu tego nie pamiętam, wiem tylko, że grał w nim rolę[!] Sztum i jakiś majątek. Powiedział mi, że będziemy się komunikowali telefonicznie i on pierwszy będzie do mnie dzwonił do Ubezpieczalni Społecznej. Na tym zakończyliśmy rozmowę i ja przyjechałem do Olsztyna.

Następnym razem spotkaliśmy się w tym samym miejscu, gdzieś po miesiącu czasu od pierwszego naszego spotkania. Spotkanie to umówiliśmy telefonicznie. Masiewicz doręczył mi obiecany pistolet i poszliśmy zwiedzić zamek malborski, w trakcie czego przeprowadziliśmy podobne rozmowy jak poprzednio. Masiewicz nadal miał być członkiem naszej komendy, a organizować miałem ja wraz z Rodziewiczem Franciszkiem i Jankowiczem Romualdem. Kontaktować się miałem jak dotychczas bezpośrednio z Masiewiczem i uzgadniać z nim nasze posunięcia na polu organizacyjnym.

W tym czasie w Olsztynie wziąłem się do gruntownej zmiany i ustalenia jakichś trwałych podstaw czy też fundamentów, na których miała się oprzeć „Iskra”. Postanowiłem opracować projekt statutu, aby mieć wreszcie dokładnie wytknięty cel i środki działania oraz program pracy, na jaki chciałem skierować organizację. Statut organizacji zmuszony byłem opracowywać, opierając się na statucie Związku Młodzieży Polskiej, gdyż nie miałem innego wzoru, a ten był mi dostępnym. A program pracy opracowałem wzorując się na „Szarych Szeregach”. Podzieliłem go na trzy części, przyjmując kryptonimy „Dziś”, „Jutro” i „Pojutrze”. W tym czasie postanowiłem zmienić całkowicie dotychczasowy system i opracować nowy oraz po różnych projektach dotyczących nazwy organizacji, jak np. NOR (Narodowy Ruch Oporu), MRO (Młodzieżowy Ruch Oporu), HRO (Harcerski Ruch Oporu) i wiele innych, postanowiłem przyjąć nazwę HOP „Iskra” (Harcerska Organizacja Podziemna „Iskra”). Kryptonim „Iskra” postanowiłem przyjąć jako łączność i jakby dalszy ciąg pierwszej naszej jednostki organizacyjnej założonej we wrześniu 1947 r. właśnie pod nazwą „Iskra”.

Po raz trzeci do Masiewicza pojechałem gdzieś w końcu kwietnia 1949 r. w uprzednio umówionym terminie, lecz niestety Masiewicza Henryka [nie] zastałem, jak później dowiedziałem się telefonicznie, że Masiewicz w tym czasie musiał wyjechać służbowo i nie mógł się stawić do Malborka w umówione miejsce.

W tym też mniej więcej czasie, będąc oczywiście w Olsztynie, wraz z Klimaszewskim Kazimierzem zostałem zapoznany przez kolegów i koleżanki z Wrzosem Ryszardem, koło kina „Polonii”. Od razu na miejscu zaprzyjaźniliśmy się, a po pożegnaniu całego towarzystwa, ja z Klimaszewskim Kazimierzem i Wrzosem Ryszardem poszliśmy w jednym kierunku ulicą 1 Maja. Zaczęliśmy mówić o harcerstwie, o stosunkach obecnie panujących, o rozłamie, jaki panuje i jaki został wprowadzony przez nową reformę harcerstwa. Ja z Klimaszewskim od razu zrozumieliśmy, że to jest wartościowa jednostka, o takich samych zapatrywaniach jak my oraz że wrogo ustosunkował się do zmian, jakie zaszły w ostatnich miesiącach na terenie całego Związku Harcerstwa Polskiego. Dlatego też powoli zaczęliśmy skierowywać rozmowę [na temat] okupacji niemieckiej oraz walk harcerzy zrzeszonych w organizacji pod kryptonimem „Szare Szeregi”. Ten temat tym łatwiej poszedł nam, ponieważ Wrzos, jak również Klimaszewski i ja, chętnie dyskutowaliśmy i jednym słowem lubiliśmy podobne zagadnienia. Następnie w dalszym ciągu rozmowy znów powróciliśmy do obecnych czasów, udowadniając potrzebę konspiracji harcerskiej dla zachowania starych metod i systemu badenpowelowskiego.

Wtedy zwierzył nam się Wrzos, że już od dawna nosił się z zamiarem stworzenia komórki organizacyjnej, która by wydawała własną prasę, siała propagandę oraz stopniowo rozszerzała się, aby przekształcić się w organizację, ale na przeszkodzie dla jego planów stanął brak odpowiednich ludzi. Ale po naszej rozmowie przekonał się, że my nadawalibyśmy się do tego rodzaju przedsięwzięcia i dlatego proponuje nam, abyśmy ten plan wspólnie urzeczywistnili. Po takim oświadczeniu tak Klimaszewski, jak i ja zgodziliśmy się na podobny projekt. Po rozmowie oświadczyłem Klimaszewskiemu, że ja przecież, jak i on należymy do org[anizacji] „Iskra” i dlatego starajmy się tę nazwę wprowadzić, a ponieważ jednostki organizacyjne posiadają dużą swobodę działania, dlatego też utrzymujemy przed Wrzosem, że tworzymy nową organizację, a będziemy przejawiali działalność jako jednostka organizacji „Iskra”.

W dalszym ciągu późniejszego tworzenia organizacji tłumaczyłem tak Wrzowski, jak i Klimaszewskiemu, że kiedyś rzeczywiście należałem do organizacji „Iskra”, ale straciłem z nią łączność i nie wiem, co się z organizacją stało. Wyraziłem przypuszczenie, że może organizacja została rozwiązana, a jeśli nawet nie, to wcale nie przeszkadza, że posługujemy się jej nazwą „Iskra”, bowiem wcześniej czy później nawiążemy z nią kontakt i wejdziemy jako jej składowa część organizacyjna.

Powracając do poprzedniej rozmowy, muszę nadmienić, że przez cały wieczór nawet do późna w nocy spacerowaliśmy razem, snując możliwe i niemożliwe projekty. Od tego czasu właściwie datuje się założenie Harcerskiej Organizacji Podziemnej „Iskra”. Zaczęliśmy się spotykać coraz częściej, omawiać te i inne szczegóły organizacyjne, ale na przeszkodzie zaczęcia[!] naszych projektów stało[!] przede wszystkim brak jakichkolwiek funduszy oraz odpowiednio wyszkolonych ludzi. Myśmy sami nie mieli żadnego pojęcia o zasadach konspiracji, nie mówiąc już o prowadzeniu w tak ciężkich warunkach organizacji. Potrzebne były jakieś siły fachowe, jakaś silna, dorosłego człowieka ręka, a myśmy takiej nie mieli. Żeby choć była dostateczna ilość ludzi tak wyszkolonych jak my, to jeszcze pół biedy, ale myśmy i tego nie mieli.

W tym czasie Rodziewicz Franciszek coraz bardziej zaczął się oddalać od nas, twierdząc, że konspirowanie nie ma wcale sensu. Natomiast Jankowicz utrzymywał nadal kontakt, ale nie wiedząc dokładnie o naszych zamiarach.

Gdzieś w połowie czerwca 1949 r., na tydzień przed Bożym Ciałem, była odprawa w Hufcu Harcerzy, na której powiadomiono nas, że w dniu Bożego Ciała wypada również święto młodzieży (dokładnie nie pamiętam jakie). W dniu tym my wraz ze swymi drużynami musimy udać się na godzinę 8 rano do Hufca, aby z tamtą pójść na Plac gen. Świerczewskiego. Na placu miał być urządzony wiec, a następnie zakończony pochodem po ulicach miasta. Na parę dni przed świętem Bożego Ciała siedziało nas trzech, to znaczy Wrzos Ryszard, Klimaszewski Kazimierz i ja na ławeczce na Placu gen. Świerczewskiego, rozmawiając o nadchodzącym święcie. Jasnym było, że my, stojąc w opozycji do podobnych zarządzeń, nie pójdziemy na ww. plac, ale chodziło o co innego, że my musimy zrobić jakiś kawał dla Hufca, czy to ze względu na organizację, czy też dlatego, aby Hufiec wyprowadzić w pole i ośmieszyć. Po gorącej dyskusji na ten temat Wrzos wysunął projekt wybudowania harcerskiego ołtarza na dzień Bożego Ciała. Projekt został przez nas wszystkich z entuzjazmem przyjęty i uzupełniony w szczegóły, jak na przykład stworzenie kordonu w czasie samej procesji itp.

Z tym projektem postanowiliśmy z miejsca udać się do księdza dziekana w katedrze, aby uzyskać od niego pozwolenie i materiał do budowy oraz wyznaczone miejsce. Koło

katedry spotkaliśmy spacerujących trzech księży. Na moje zapytanie, który z księży zajmuje się organizowaniem procesji, jeden z księży, już nieco siwy, wysunął się naprzód i odpowiedział, że on tym się zajmuje. Wtedy zgłosiliśmy mu naszą chęć udzielenia pomocy przy budowie ołtarza. Powiedzieliśmy, że jesteśmy harcerzami i naszym obowiązkiem jest zrobić dobry uczynek. Ksiądz chętnie się zgodził na naszą propozycję, tym chętniej, że nie było ludzi do pomocy. Do wyboru mieliśmy dwa miejsca, albo wybudować koło Ratusza, albo też koło poczty. Wybraliśmy to drugie. Otrzymaliśmy materiał i Wrzos, a następnie i my, wybudowaliśmy z brzozy bramę w stylu harcersko-puszczańskim. W przeddzień Bożego Ciała agitowaliśmy trochę, namawiając braci harcerską do wzięcia udziału w procesji. Z rana w Dzień Bożego Ciała stanęliśmy wszyscy do zamierzonej pracy. Budowa posuwała się prędko, od czasu do czasu ludzie przynosili nam zieleni i kwiaty do ozdoby oraz pomagali przystrajać.

W tym czasie Hufiec wysłał patrol harcerskie na miasto, ażeby harcerki i harcerzy udających się do kościoła skierowywać na Plac gen. Świerczewskiego. Powiadomił nas o tym Jankowicz Romuald, który był wyznaczony z ramienia hufca jako jeden z takich patroli. Przychodzących do nas, harcerki i harcerzy, musieliśmy ukryć, ażeby nie zwrócić uwagi patroli. Mimo to zauważył nas patrol z hufca i kazał iść na Plac. Przeciwwstawiłem się temu, twierdząc, że zaczętej pracy przy budowie ołtarza nie będę przerywał. Tymczasem zaczęła się do nas schodzić pokaźna ilość harcerek i harcerzy, a kiedy patrol ponownie przyszedł, ukryliśmy się już nie do świetlicy, ale wszyscy weszliśmy do piwnicy. Po odejściu patrolu dokończyliśmy budowę ołtarza i wszystkich skierowaliśmy do katedry na procesję. W czasie procesji utworzyliśmy kordon, a kiedy procesja zbliżyła się do naszego ołtarza, udałem się osobiście w celu udekorowania ołtarza godłami harcerskimi. Ale po przybyciu zauważyłem, że godła już zostały powieszono. Po skończonej procesji w katedrze zaśpiewaliśmy modlitwę harcerską, a następnie jeden z harcerzy zrobił nam grupowe zdjęcie.

Jak następnie stwierdziłem, pochód i manifestacja urządzona przez harcerstwo i Związek Młodzieży Polskiej, dzięki naszemu pomysłowi, nie udał się. To był pierwszy zewnętrzny wyczyn organizującej się dopiero HOP „Iskra”. Drugi taki wyczyn był tego samego dnia, gdy umówiliśmy się, aby wspólnie zebrać się naprzeciw poczty i udać się do wsi Jaroty w celu przedstawienia tam kominka. Hufiec nie mógł opanować sytuacji, bo nikt nie chciał się go słuchać. Prawie wszyscy zebrawi się o umówionej godzinie i udaliśmy się do ww. wsi, gdzie przedstawiliśmy kominek harcerski. Kominek prowadził osobiście, który[!] nawet dość dobrze się udał.

W powrotnej drodze zadowoleni z siebie i dzieląc się wrażeniami snuliśmy różne projekty. Nie pamiętam, kto podał w tym czasie projekt zrobienia wspólnego biwaku. Myśl została natychmiast podjęta. Padały różne propozycje, ale jedna wytrzymała ostrą krytykę i została przez ogół przyjęta. Było to zrobienie biwaku we wsi Nikielkowo, w nadchodzącą sobotę. Zasadniczo nie było to zatwierdzone tylko luzem puszczone, jako jeden z wielu nie urzeczywistnionych projektów. Ale na następny dzień dowiaduję się od moich kolegów, że biwak organizują poszczególne zastępy i luzem stojący[!] harcerze. Jankowicz wraz z Rodziewiczem mieli przynieść adapter, płyty, wzmacniacze, megafony i mikrofon. Oczywiście od ogółu harcerek i harcerzy otrzymaliśmy zaproszenie na ten biwak. Po przybyciu uczestników zostały zainstalowane megafony i adapter dla szerzenia propagandy, mającego nastąpić ogniska, wśród ludności miejscowej. Komendantem biwaku został wybrany Jankowicz Romuald, a ja obozowym, Rodziewicz Franciszek

jako nadzór techniczny. Zostały zorganizowane z uczestników biwaku trzy czy cztery drużyny, na czele których między innymi stała Szulcówna Halina i Wrzos Ryszard. (Od tego zasadniczo czasu znam Szulcównę Halinę). W sobotę wieczorem załatwiliśmy z noclegami[!]. Dziewczeta miały spać w szkole, a chłopcy u gospodarzy w stodole. Pod wieczór urządziliśmy kominek harcerski przy mikrofonie (bowiem mikrofon mieliśmy zainstalowany), który[!] jako tako udał się. Kominek prowadziłem osobiście, nadając mu charakter rozrywkowy, niemniej jednak starając się wpleść swój ulubiony temat konspirację, „Szare Szeregi” i powstanie warszawskie. Na drugi dzień urządziliśmy dla rozrywki potańcówkę.

Ale w międzyczasie harcerki i harcerze radzili „po kątach”, jak wybrnąć z tej afery. Chcieliby pojechać na obóz wraz z Hufcem, to znów wiedzą, że Hufiec ich nie przyjmie. A wiedzą dobrze, że po obozie i tak nie zostaną w harcerstwie, bo harcerstwo traci swój dotychczasowy charakter apolityczny i staje się organizacją polityczną z wpływami partii, tak zwane „Czerwone Harcerstwo”. Ta nazwa wszystkich odstraszała, w dodatku gdy wyszło zarządzenie o wprowadzeniu czerwonych chust. Przypominało to pionierów. Pod wpływem tego zaczęły rodzić się pomysły zorganizowania własnych, niezależnych drużyn, czyli własne harcerstwo. Takie i podobne słuchy skrzętnie wylapywaliśmy, ciesząc się, że młodzież garnie się do konspiracji. Jako do najstarszych harcerzy na terenie biwaku zwracano się do nas zapytaniem, co robić? Jak to będzie? Czy niedobrze byłoby nadal organizować podobne biwaki? A może zorganizujemy własny obóz wędrowny? Na ostatni projekt zwróciliśmy uwagę, może to i dobrze będzie. Po biwaku zbieraliśmy się w wielkim gronie byłych uczestników procesji, dyskutując nad mającymi nastąpić zarządzeniami hufca oraz własnymi projektami.

W tym czasie otrzymałem z Hufca pisemne zwolnienie ze Związku Harcerstwa Polskiego. Zwolnienie to motywowano tym, że się nie nadaje do pracy instruktorskiej. To do reszty wzburzyło i tak już wzburzone umysły moich kolegów, którzy mówili: dzisiaj ciebie, a jutro nas zwolnią. W takim razie róbmy swój własny obóz, i to wędrowny. Na ten temat zaczęliśmy prowadzić dyskusję, ale już w ściślejszym gronie. Dyskusje zasadniczo odbywały się u Haliny Szulcówny. Tam został rozpracowany obóz, ułożono regulamin i podzielono funkcje. Ja zostałem obrany komendantem obozu. Wrzos moim zastępcą, Klimaszewski obozowym, a Andrzejewski zastępowym. Ze strony dziewcząt komendantką była obrana Szulcówna Halina, która zasadniczo mnie podlegała oraz zastępową Żoltańska Danuta. Zapomniałem nadmienić, że „najważniejszą osobą”, to jest kwatremistrzem, został wybrany Jankowicz Romuald. Program obozu ułożyłem sam, który[!] został przez członków komendy zatwierdzony. Natomiast trasę obozu i termin wyjazdu postanowiliśmy zachować w najgłębszej tajemnicy. Dlatego nad tym pracowało tylko nas dwóch, to jest Wrzos Ryszard i ja. Zachowanie tajemnicy było konieczne, bo w innym wypadku dowiedziałby się o tym hufiec i mógłby zrobić nam jakąś niespodziankę. Z początku porozumieliśmy się z PTK (Polskie Towarzystwo Krajoznawcze), przedstawiając to jako wycieczkę. Radzili nam obrać trasę na terenie Warmii i Mazur, ale po paru dniach Wrzos przedstawił projekt udania się na tereny Lubelszczyzny, ponieważ tereny te zna, ma tam babcię, oraz że łatwiej będzie z wyżywieniem, a co do zwiedzania, to również będą ciekawe rzeczy, jak na przykład miejsce urodzenia i kopiec Henryka Sienkiewicza i inne. Na ten projekt po dłuższym namyśle zgodziłem się. Każdy z nas miał wpłacić według naszych obliczeń po 1500 zł, a resztę funduszków zobowiązał się Jankowicz dostarczyć. Dokładnie nie wiem, jak on to zrobił, bo nigdy nie lubił o tym rozmawiać,

wiem tylko, że pobrał w jakiś sposób kakao przeznaczone dla Hufca, twierdząc, że przyda się i na nasz obóz, następnie kakao spieniężył, a pieniądze w ten sposób uzyskane ofiarował na cele obozu. Oprócz tego Jankowicz dostarczył druczki pozwolenia na obóz oraz pieczętę Hufca Harcerzy Olsztyn—Powiat, dzięki czemu zrobiliśmy sami pozwolenie na obóz. Termin wyjazdu obraliśmy na dzień 1 lipca 1949 r., o terminie zostali powiadomieni tylko ci, którzy zgłosili się na obóz. Zawiadomienia pisemne i ustne zostały [dostarczone] na 12 i 24 godziny przed wyjazdem.

Pierwszego lipca wieczorem zebrali się wszyscy u Szulcówny Haliny, a następnie przeszliśmy do Jankowicza, gdzie został odczytany pierwszy rozkaz obozowy. Rozkaz ten został wspólnie zredagowany, to zn[aczy] przez Klimaszewskiego, Wrzosa i mnie. Wyjaśnił on powód obozu, cel i regulamin oraz powołał do życia HOW (Harcerski Obóz Wędrowny) oraz to, co było niespodzianką, mianowicie HAS (Harcerska Akcja Szkolenia). Program HAS oraz sam HAS opracowałem osobiście. Miał on na celu przeszkolenie ludzi, a następnie wciągnięcie ich do HOP „Iskry” na odpowiedzialne funkcje. Fikcyjną komendantką HAS była wybrana Szulcówna Halina, a zasadniczo to ja tę funkcję pełniłem. Instruktorami w HAS byli prawie wszyscy uczestnicy HOW, którzy jako tako orientowali się w ideologii i technice harcerskiej. Po odczytaniu rozkazu wszyscy poszli na dworzec, gdzie zostały kupione bilety do Dębina, ale nie rozdane pomiędzy uczestników obozu, aby nikt nie wiedział o stacji docelowej. Na dworcu pożegnałem się z uczestnikami, gdyż nie mogłem jechać, bo nie dostałem urlopu. Obiecałem w miarę możliwości przyjechać jak najprędzej i przywieźć ze sobą pozostawione dwie harcerki, Ostaszewską Jasię i Kuczmarską Jadzię. W moim zastępstwie został komendantem Wrzos Ryszard, a resztę funkcji pozostawiliśmy normalnie.

Ja tymczasem w Olsztynie starałem się usilnie otrzymać urlop i pojechać na obóz. Miejscem mego przyjazdu miała być wieś Krzówka, a ewentualne zmiany w trasie itp. miały być umieszczone w meldunkach przysyłanych do mnie, do Olsztyna, abym wiedział, co robi i gdzie należy szukać nasz[!] obóz wędrowny.

W Olsztynie w tym czasie czytając „Przyjaciółkę” natrafiłem na ogłoszenie Związku Esperantystów w Polsce. Tego samego dnia napisałem do Warszawy w tej sprawie oraz kupiłem podręcznik języka esperanto, mając zamiar po obozie bardziej zająć się tą sprawą. W międzyczasie dostałem wezwanie do brygady PO „SP”. Przedstawiłem je w biurze w Ubezpieczalni Społecznej, która złożyła wniosek o zwolnienie mnie z brygady. Wniosek ten został cofnięty 4 lipca 49 r. co oznaczało, że zmuszony będę pojechać do SP. Ubezpieczalnia zwolniła mnie z pracy, a ja udałem się bezpośrednio do Miejskiej Komendy PO „SP”, gdzie próbowałem się zwolnić, twierdząc, że jestem chory i nie nadaję się do pracy fizycznej. Mimo to nie zgodzili się, wtedy wpadłem na pomysł i pokazałem wynik mego badania i skierowanie do specjalisty, do doktora [Jana] Janowicza. W wyniku badania była prośba o specjalne zbadanie mego krzyża i prawego uda u nogi[!]. Skierowanie to było wystawione przez dr [Joannę] Skrzypińską. Wtedy mnie zwolnili z brygady, a ja udałem się po spakowaniu rzeczy wraz z Kuczmarską (bo Ostaszewskiej nie było) na pociąg.

Po wielu trudach, 5 lipca wieczorem, dostałem się do wsi Krzówka, gdzie stacjonował nasz obóz. Od razu, z miejsca, objąłem swą funkcję i wprowadziłem jako taki porządek. Od tego czasu zaczęliśmy systematycznie wykłady w ramach HAS. Program HAS przewidywał całą technikę i ideologię harcerską, oczywiście z naszym specjalnym nastawieniem. Urządzaliśmy ogniska rozrywkowe oraz ideologiczne, poruszając zawsze

temat walki harcerzy w okresie okupacji niemieckiej, „Szare Szeregi” i powstanie warszawskie. W czasie gawęd zawsze tak naprowadziliśmy, aby wykazać konieczność wejścia harcerstwa do konspiracji jako potrzebę obecnej chwili. Do nowej ideologii harcerstwa ustosunkowaliśmy się wrogo, wykazując to w czasie gawęd ideologicznych i twierdząc, że nowe harcerstwo idzie drogami sowieckich pionierów. Tak samo twierdziliśmy o Związku Młodzieży Polskiej, że idzie drogami sowieckiego komsomołu. Takie same było nastawienie nasze i takie same nastawienie dawaliśmy członkom obozu, choć nigdy nie zrobiliśmy tego zupełnie otwarcie, ale przez kawały, piosenki lub przez ich własne umiejętnie skierowane wypowiedzi na ten temat. Tajemniczo zapowiadaliśmy kilkakrotnie, aby pilnie słuchali wykładów, gdyż po powrocie prawdopodobnie każdy z nich obejmie drużynę. Jąką drużynę, oczywiście nie mówiliśmy, a myśleliśmy o konspiracji. Komenda obozu oraz kilku uczestników otrzymało materiał z książek harcerskich i opracowywała go, a następnie kolejno prowadzono wykłady. W ten sposób była podwójna korzyść i w ten sposób przyszykowaliśmy przyszlą kadrę instruktorską. Największy nacisk kładliśmy na terenoznawstwo, orientację w terenie, robienie szkiców topograficznych i perspektywicznych różnymi sposobami. Tym samym szykowaliśmy się do drugiej części naszego programu, do „Jutra” czyli Wielkiej Dywersji. A jeśli chodzi o dziewczęta, to największy nacisk kładliśmy na samarytankę oraz sygnalizację, ćwicząc je na przyszłe sanitariuszki, łączniczki i zwiadowczynie. Oprócz tego przerabialiśmy pionierkę, łączność i tropienie, a niezależnie od tego metodykę kursu zastępowych i drużynowych.

Pod koniec obozu Klimaszewski pojechał do Olsztyna na egzamin, biorąc z sobą prawie wszystkich uczestników listy do rodziców z prośbą o przysłanie pieniędzy. Z pieniędzmi tymi przyjechał i za zgodą wszystkich uczestników pieniądze te zostały obrócone na utrzymanie obozu wędrownego. Po dojściu do Lublina część uczestników pojechała do Olsztyna, a pozostali, w tej liczbie i dwie harcerki, udali się do Puław, a następnie do Kazimierza. W Kazimierzu zabrakło nam funduszków na dalszą podróż i na powrót do Olsztyna. Wtedy Jankowicz, pełniąc funkcję kwatermistrza, postanowił udać się do pierwszego lepszego księdza z prośbą o pożyczanie pieniędzy. Tak też zrobiliśmy, udaliśmy się w Kazimierzu Dolnym do księdza i po przedstawieniu sytuacji, że jesteśmy członkami harcerskiego obozu i zabrakło nam pieniędzy na dalszą drogę, prosimy o pożyczanie 3500 zł. Odpowiedzialni za zwrot tej sumy byli Jankowicz, jako kwatermistrz i ja, jako komendant obozu. Po przyjeździe do Olsztyna ww. kwotę odesłałem w dwóch ratach.

Zapomniałem nadmienić, że na obozie pracowaliśmy przez pięć dni przy odbudowie drogi oraz parę razy pomagaliśmy gospodarzom na polu. Wszędzie, gdzie byliśmy, byliśmy legalnie, bowiem meldowaliśmy się tak u sołtysów, jak też na Post[erunkach] MO, co prawda, że na „lipne” pozwolenie na obóz. Oprócz tego ludność miejscowa dawała dla harcerzy żywność, ile kto mógł. Oczywiście, że to było również robione „legalnie”, gdyż legitymowaliśmy się uprzednio u sołtysa ww. pozwoleniem na obóz, a następnie ten ostatni chodził z nami i zbierał żywność ofiarowywaną nam przez ludność.

Na obozie często rozmawialiśmy o naszej działalności w HOP „Iskra”. W tych dyskusjach brali udział: Klimaszewski Kazimierz, Wrzos Ryszard i ja. Po przyjeździe z obozu zaczęły chodzić różne słuchy, że Hufiec zajął się naszą sprawą, że oddał sprawę do Komendy Chorągwi, że podobnie sprawą nieszczęsnego kakao zajęła się milicja. Wszyscy swymi „pewnymi” wiadomościami robili tylko zamęt, ale największy zamęt i panikę siał

Jankowicz, do tego stopnia, że myśmy już stracili orientację i nie mogąc opanować sytuacji, sami poddawaliśmy się wpływowi paniki. Najlepszym dowodem było to, że bojąc się aresztowania oraz żeby się wyrwać z tego chaosu, wyjechaliśmy w trzech, to jest Jankowicz, Wrzos i ja do Mrągowa i Sępopola, wyszukując jednocześnie, na wszelki wypadek, „meline”.

Będąc w Sępopolu, ja wraz z Wrzosem, opierając się na moich poprzednich projektach, opracowaliśmy statut, plan pracy i jeszcze podobne rzeczy oraz słynny rozkaz nadzwyczajny powołujący do życia całą Komendę oraz hufce, to jest hufiec męski i żeński Olsztyn—Powiat i Miasto, a inne hufce i drużyny to były tylko fikcją. Podane były imiona naszych znajomych jako pseudonimy i ewentualnie kiedyś mieliśmy zamiar tych znajomych skaptować do organizacji. W rozkazie tym zostały przyznane stopnie harcerskie oraz próby drużynowych z okresu obozu. Na obozie miałem pseudonim „Kruk”, który został oficjalnym, a nieoficjalnym pseudonimem posługiwałem się do dnia 6 sierpnia 1949 r., czyli do podpisania pierwszego rozkazu nadzwyczajnego. Pseudonim mój brzmiał „Grot”. Stopnie wojskowe, których używaliśmy na rozkazie, nie były wynikiem naszej bujnej fantazji, ale tylko koniecznością stworzenia fikcji, czyli zakonserwowania nas i naszych młodych lat.

W tym czasie przywieźliśmy z Sępopola starą niemiecką maszynę do pisania, którą ja oczyściłem, a którą następnie Jankowicz zamiast oddać do naprawy sprzedał, oczywiście pieniędzy nie zwracając. Po obozie zaraz zetknąłem się już z przysłanym prospektem języka esperanto i postanowiłem założyć w Olsztynie Oddział Związku Esperantystów w Polsce. Oprócz tego postanowiliśmy przy esperancie założyć koło Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Prezesem oddziału zostałem ja, a Koła PTK Wrzos Ryszard. Dwa te związki były nam nie tylko potrzebne po to, aby nam pomogły, albo z zamiłowania, ale również po to, aby ukryć się pod ich płaszczykiem i prowadzić działalność organizacyjną, jak również urządzić imprezy dochodowe, aby finansować HOP „Iskra”. Esperanto miało na celu ukryć nasze kursy i zebrania, a natomiast PTK miało na celu ukryć nasze wycieczki oraz w ramach tego towarzystwa imprezy dochodowe.

Po przyjeździe z obozu dyskutowaliśmy we trzech nad tym, jakich członków obozu przyjąć do organizacji i jaką dać im funkcję. Zdawaliśmy sobie sprawę, że obóz naprędce organizowany dał nam jednak niedużo, ale mimo to wartościowe jednostki, sam szkielet, na którym mogliśmy oprzeć i rozwinąć Harcerską Organizację Podziemną „Iskra”. Projektowanym osobom kazaliśmy się zebrać w lesie nad Łyną, gdzie uświadomiłem ich o organizacji, a następnie przyjąłem przyrzeczenie na krzyż. Po tym akcie został odczytany ww. rozkaz nadzwyczajny, który zrobił na wszystkich wielkie wrażenie. Rzecz ta działa się w połowie sierpnia 1949 r. i była formalnym zaczęciem naszej organizacji HOP „Iskra”. Potem zostały rozdzielone funkcje i na małych odprawach omawialiśmy poszczególne zadania, jakie każdy z uczestników miał do wykonania w najbliższej przyszłości. Przede wszystkim hufce miały zorganizować swe komendy, dobrać personel (o ile nie był uzupełnionym) i zacząć organizować drużyny. Program, jaki opracowaliśmy, został w krótkich zarysach przedstawiony hufcowym. Praca nastawiona miała być na organizowanie się i na szkolenie. Dlatego też wydałem zarządzenie, aby hufce we własnym zakresie przeprowadzały kursy zastępowych oraz kursy specjalne, jak np. hufiec żeński — kurs samarytański itp.

W tym czasie wydałem opracowaną przeze mnie instrukcję traktującą o organizowaniu hufców i drużyn oraz drugą o prowadzeniu pracy w zorganizowanych jednostkach

organizacyjnych. Instrukcje te wydane zostały w celu ułatwienia pracy młodym jeszcze i niedoświadczonym instruktorom. Oprócz tego opracowałem program gawęd ideologicznych. W tym też czasie, na prowizorycznie zrobionym przeze mnie powielaczu, odbiłem „Wezwanie do Czynu”. Wezwanie to miałem zamiar rozkleić po mieście. Instrukcję jak i wezwanie napisałem na maszynie pożyczonej od jakiegoś kolegi przez Jankowicza Romualda. Pracę harcerską mieliśmy zacząć od dnia 1 września 1949 r., tj. od początku roku harcerskiego. Wydałem obydwom hufcom rozkaz, aby w ścisłym gronie obydwóch komend zorganizowali uroczyste zaczęcie nowego roku harcerskiego. Miało to być uroczyste ognisko z gawędami i z przyrzeczeniem. Obliczałem na to, że takie ideologiczne gawędy, wygłoszone na ognisku, dodadzą bodźca do dalszej wydatniejszej pracy na polu organizacji.

W początkach września tegoż roku obydwie hufce zaprosiły nas na mające odbyć się zaczęcie roku harcerskiego. Pojechaliśmy pociągiem do stacji Jabłonka, a następnie udaliśmy się pieszo przez las 6 km do leśniczówki (nazwy nie pamiętam), tam mieliśmy urządzić zapowiedziane ognisko. Ognisko i zapowiedziane uroczystości nie doszły do skutku z powodu różnicy zdań spowodowanych moją zgodą wyrażoną na wzięcie z sobą zupełnie obcego człowieka, jaką[!] była Jadwiga Bączyńska (Jadwiga Bączyńska dlatego była traktowana jako obca osoba, gdyż nie należała do ostatniej chwili do naszej organizacji HOP „Iskra”).

Po tej nieudanej uroczystości obydwie hufce postanowiły ponownie ponowić zaczęcie roku harcerskiego. Zrobiły to dwa tygodnie później w lesie na[!] szosie Olsztyn—Barczewo, koło Nikielkowa. Zebraliśmy się tam wieczorem, ponieważ było blisko szosy, nie śpiewaliśmy pieśni, tylko po krótkiej gawędzie rozdałem wydrukowane instrukcje oraz „Wezwanie do Czynu”. Po takim zaczęciu naszego roku harcerskiego poleciłem hufcom wzięcie się do pracy organizacyjnej. Od tego czasu hufce zaczęły organizować się w myśl otrzymanych instrukcji, a myśmy walczyli wciąż z brakiem maszyny do pisania i powielaczem oraz odpowiednimi funduszami, co nam utrudniało bardzo prowadzenie i kierowanie pracą, a w większości wypadków wprost uniemożliwiało wydać jakąkolwiek instrukcję lub rozkaz w danej chwili konieczny do skierowania pracy na odpowiednie tory.

Takie i wiele innych trudności ciągnęły się przez cały czas naszej działalności w organizacji. Zapomniałem nadmienić, że do końca 1949 r. działalność nasza ciągle kulała z wymienionych wyżej powodów. W tym czasie wydałem rozkaz i poprzednio wymienione instrukcje oraz rozkaz na dzień 11 listopada i grudniowy. Rozkazy wydawałem co miesiąc, a instrukcje w miarę potrzeby, niemniej jednak podstawowych instrukcji było wciąż brak, a nie mieliśmy odpowiednich warunków na ich wydawanie. Najważniejszym problemem był brak odpowiednich ludzi na odpowiedzialne funkcje.

Opracowaliśmy w tym czasie nową strukturę organizacji, opierając się na strukturze Gwardii Ludowej w latach 1942—1944 r. Bojąc się, aby nie wyszło na jaw, że my sami prowadzimy tę organizację, stworzyliśmy fikcyjne Naczelne Dowództwo, które jakoby miało pod sobą kilka Komend Głównych, ale de facto Komenda Główna, w skład której wchodziłi Wrzos Ryszard, Klimaszewski Kazimierz i ja, prowadziła całą organizację. Dla lepszego administrowania cały teren Polski podzieliłiśmy na osiem okręgów. Numerację zaczęliśmy od Mazowsza, tak że Okręg Warmińsko-Mazurski nosił numer piąty, aby zmylić miejsce pobytu Komendy Główniej. Każdy Okręg dzielił się na trzy obwody: Północny, Południowy i Centralny. Znow każdy z obwodów dzielił się na pięć hufców,

hufiec na pięć drużyn, drużyna na dwa plutony, pluton na dwa patrole, czyli zastępy liczące po pięciu członków — była to najmniejsza jednostka organizacyjna.

Struktura była olbrzymia, obliczona na dwanaście tysięcy członków. Oczywiście nie liczyliśmy nigdy, że osiągniemy kiedykolwiek taki lub zbliżony stan ludzi, ale obliczaliśmy, że w przyszłości osiągniemy stan paru tysięcy członków. Niemniej jednak na wprowadzenie nowej struktury i ruszenie pełną parą tak wielkiej maszyny musieliśmy posiadać dostateczną ilość instruktorów. Dlatego też postanowiliśmy wyszkolić pierwszą kadrę instruktorską, która by następnie szkoliła innych. Opracowałem program szkolenia, rozkładając go na trzy okresy, jako przeszkolenie instruktorskie drugiego i pierwszego stopnia. Program przewidywał w trzecim stopniu opanowanie techniki i metodyki harcerskiej. W drugim stopniu nieco przeszkolenia taktycznego i ideologii harcerskiej, w pierwszym zaś dwa poprzednie, zebrane razem i rozszerzone wraz z przeszkoleniem ideologicznym i ogólnowojskowym.

Kursy urządziliśmy w grudniu 1949 r. Uczestników było sześciu czy ośmiu. Kursy nie zostały przed aresztowaniem zakończone. Na kursach Wrzos prowadził metodykę kursu zastępowych i drużynowych, Klimaszewski część techniki oraz wychowanie ideologiczne, ja natomiast terenoznawstwo, dżu-dżitsu i inne. Jeśli chodzi o Rodziewiczza Franciszka, to on de facto wycofał się z życia naszej organizacji, ale nie przeszkadzało mi to dać mu materiał w celu opracowania wykładów na kurs instruktorski. Członkowie tego kursu po jego zakończeniu mieli zostać członkami naszego sztabu, komendantami okręgów i obwodów itp. Nazwy obraliśmy sobie szumne, ale niezbędne do stworzenia fikcji poważnej i rozrośniętej już organizacji oraz do zakonspirowania naszych osób jako głównej sprężyny.

Członkami Kom[andy] Głównej było nas trzech. Ja pełniłem funkcję kom[andanta] głównego, Klimaszewski Kazimierz z-cy kom[andanta] głównego HOP „Iskry”, Wrzos Ryszard pełnił funkcję kom[andanta] głównego powstającego HSZ „Iskra” (Harcerskie Siły Zbrojne) oraz mieliśmy wolny etat na szefa Sztabu Głównego, który chcieliśmy ofiarować Rodziewiczowi, ale ponieważ on wycofał się z organizacji, dlatego też funkcja ta wisiała[!]. Myśmy byli jednocześnie członkami Sztabu Głównego i pełniliśmy funkcję szefów wydziałów.

Wydziałów było pięć: 1) organizacyjny, 2) informacyjny, 3) szkolenie kadr, 4) zaopatrzenie, 5) propagandy. Ja prowadziłem wydziały organizacyjny i szkolenia kadr; Wrzos Ryszard wydział informacyjny, a Klimaszewski Kazimierz wydziały zaopatrzenia i propagandy.

Wydział organizacyjny, w skład którego wszyscy wchodziliśmy, miał na celu organizować nowe hufce, nowe obwody, kierować pracą już zorganizowanych jednostek, wydawać zarządzenia, otrzymywać raporty z działalności hufców i drużyn oraz czuwać nad całą organizacją.

Wydział informacyjny dzielił się na dwa podwydziały, to jest wywiad i kontrwywiad. Wywiad miał na celu informować nas o działalności wrogich dla nas organizacji, jak na przykład Związek Młodzieży Polskiej oraz Czerwone Harcerstwo. Potrzebne nam to było, aby się orientować w ich działalności na danych terenach i odpowiednio do tego prowadzić swoją działalność. Również chcieliśmy mieć swój wywiad w Urzędzie Bezp[ieczności] Publ[icznego], aby być na czas ostrzeżonym w razie niebezpieczeństwa aresztowania. Jeśli chodzi natomiast o kontrwywiad, to miał kontrolować szeregi naszej organizacji, aby nie dostał się do niej obcy element zagrażający bezpieczeństwu HOP.

Muszę zwrócić uwagę, że wbrew przewidywaniom Wydział informacyjny nie był jeszcze zorganizowanym i nie mieliśmy jeszcze nigdzie swych agentów, a tym bardziej wtyczek do Urzędu Bezp[ieczeństwa] Publ[icznego].

Wydział szkolenia kadr miał stale szykować kadry instruktorskie, szkolić je teoretycznie i praktycznie, i był obliczonym na rozrost organizacji. Miał za zadanie również opracowywać i wydawać programy szkolenia oraz instrukcje szkoleniowe kursów zastępowych, drużynowych czy też instruktorskie.

Wydział zaopatrzenia miał za zadanie zaopatrzyć organizację w sprzęt techniczny i polowy oraz broń i amunicję. Miał starać się o fundusze na cele organizacyjne oraz wynaleźć „meliny”, tak zwane „bazy”, na wypadek „wsypy”. Miały one uchronić zagrożone osoby od aresztowania oraz miały posiadać ewentualnie szpitale[!], broń itp. Wydział ten trudnił się również zbieraniem medykamentów oraz urządzeniem imprez dochodowych, czy też środkami zdobywania funduszków.

Nową strukturę organizacyjną postanowiliśmy wprowadzić rozkazem w dniu 1 I [19]50 r. Opracowałem instrukcję dot. struktury organizacyjnej, a następnie regulamin w trzech częściach, wzorując się na Gwardii Ludowej, poza tym instrukcję o organizowaniu jednostek. Były również napisane instrukcje, ale nie wydane, o propagandzie i wywiadzie. Instrukcję o propagandzie napisał Klimaszewski Kazimierz, a o wywiadzie Wrzos Ryszard. Wrzosowi dałem materiał do napisania tej instrukcji w postaci dwóch książek „Walka mózgów” oraz „Z tajemnic wywiadu angielskiego”. W książce „Walka mózgów” była ujawniona i podana organizacja wywiadu niemieckiego w czasie pierwszej wojny światowej. Z braku innego materiału postanowiliśmy przyjąć niektóre szczegóły z organizacji oraz wzorować się na metodach wywiadu angielskiego.

W tym czasie, w rozmowie prowadzonej z Rodziewiczem Franciszkiem, ten ostatni zaproponował mi, że może mi dać plan pracy Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Polskiej w Olsztynie. Oczywiście chętnie na to przystałem i wręczył mi wtedy ww. plan. Ja, wiedząc, że Rodziewicz będzie miał możliwość dostawać więcej podobnego materiału, prosiłem go, że o ile ma możliwość, niech dostarcza mi więcej tego materiału, a to się wszystko przyda do nowo organizującego się Wydziału informacyjnego. Następnym razem Rodziewicz dostarczył mi protokoły z wewnętrznych odpraw Wojewódzkiego Zarządu ZMP, traktujących o kolporterce pism ZMP-owskich oraz o ich coraz zmniejszającym się gronie czytelników. Informacja ta była cenną, ponieważ orientowaliśmy się w jakich rejonach naszego województwa obniża się ilość rozkolportowanych pism ZMP-owskich, a tym samym oziębia się zainteresowanie Związkiem Młodzieży Polskiej, stwarzając nam wymarzone pole działania naszej propagandy i naszych pism oraz zakładaniem naszej siatki organizacyjnej. Po raz trzeci Rodziewicz doręczył mi listę aktywistów z ZMP wybranych do Zarządu, na Wojewódzkim Zjeździe Aktywistów ZMP w Olsztynie, który odbył się gdzieś w połowie grudnia 1949 r. Od tego czasu więcej mi żadnych materiałów nie doręczał.

Jeśli chodzi o Klimaszewskiego Kazimierza, ten, pracując w Komendzie Chorągwi Harcerstwa Polskiego w Olsztynie, donosił mi o działalności Komendy Chorągwi, o organizowanych kursach, ich poziomie, tematach wykładów. Mówił, że tyle zorganizowanych drużyn na terenie naszego województwa jest na wół fikcją, bo drużyny te wcale nie pracują, a skład ich stale się zmniejsza, gdyż członkowie nie chcą należeć do Czerwonego Harcerstwa. Dał mi również obecnie wydane programy na stopnie

i sprawności oraz jeszcze dawniejsze „Wiadomości Urzędowe”, na podstawie których miałem opracowywać nasze stopnie oraz różne instrukcje.

Jeśli chodzi o organizację, to działalność jej finansowaliśmy z własnych pensji oraz z otrzymanych składek, od hufców z drużyn. Był tylko jeden fakt, że hufcowa hufca żeńskiego Szulcówna Halina wręczyła mi raz 10 tys. zł, a drugi raz sześć tys. zł, nie mówiąc, od kogo pochodzą. Jak następnie dowiedziałem się, była to pensja Wrzosa Ryszarda, który nie chciał nam dać jej bezpośrednio, a tylko przez Szulcównę, aby ta ostatnia sądziła, że to ludzie wpłacają na organizację, a drugim celem to było dowiedzieć się, co my z tą forszą zrobimy. Po dołożeniu jeszcze swoich pieniędzy uskuteczniłem następujące zakupy: kupiłem powielacz płaski, papier do powielacza, farbę oraz matrycę.

To było w ostatnich dniach grudnia 1949 r. Od tego czasu postanowiliśmy zacząć systematycznie wydawać gazetkę. Projektowaliśmy różne nazwy, ale najbardziej przypadła do gustu nazwa projektowana przez Wrzosa, mianowicie „Czyn”. Artykuły pisaliśmy do gazetki, a ja odbijałem je na maszynie biurowej z Wojewódzkiego Urzędu Kultury Fizycznej, gdyż sami maszyny nie posiadaliśmy. Następnie wspólnie już odbijaliśmy „Czyn” na zakupionym powielaczu. Pierwszy nakład gazetki „Czyn” wyszedł na początku stycznia 1950 r. i wynosił sto pięćdziesiąt egzemplarzy, które następnie zostały rozkolportowane, a drugi nakład był drukowany w lutym i wynosił już 300 egzemplarzy, których nie zdążyliśmy już rozkolportować.

Nieprawdą jest, że rzekomo otrzymaliśmy od księży, czy też od innych osób prywatnych, fundusze na cele organizacyjne, gdyż organizację utrzymywaliśmy jak wyżej wymieniałem z własnych pensji, a ponieważ w tym czasie potrzebowaliśmy dużo pieniędzy, postanowiliśmy wypuścić tak z[wane] obligacje „Daru Narodowego”. „Dar Narodowy” wydrukowaliśmy na powielaczu w formie „cegiełek” w czterech rodzajach a 50, 100, 500 i 1000 zł, obrazując cztery kolejne stadia walki wyzwoleniczej. Obligacje miały być następnie rozesłane na jednostki organizacyjne, jako papiery ścisłego zarachowania, a następnie rozsprzedane sięjąc propagandę, dając znać społeczeństwu o ludziach walczących w podziemiu i przynosząc fundusze na utrzymanie i rozszerzenie HOP „Iskra”.

Jeszcze w listopadzie, a następnie w grudniu 1949 r. spostrzegliśmy, że zbaczamy z wytkniętej przez siebie linii. Organizacja nasza, zamiast być ściśle harcerską, przekształcała się powoli, mając ambicje organizacji raczej bojowej. Wypaczyliśmy nasze założenia, ale postanowiliśmy te dwie linie połączyć z sobą, albo ewentualnie skorygować w działaniu. Pierwszy sposób wcale nam się nie udał, gdyż nadal wypaczaliśmy nasze założenia to w tym, to znów w przeciwnym kierunku. Pozostawał tylko drugi sposób. Należało stworzyć coś w rodzaju drugiej organizacji, której metody [pracy] byłyby różne, ale praca była skorygowana i nawzajem uzupełniała się.

Tę drugą organizację nazwaliśmy HSZ (Harcerskie Siły Zbrojne), ale zrzeszone razem pod krypt. „Iskra”. HSZ wprowadziliśmy rozkazem 1 stycznia 1950 r. Komendantem Głównym HSZ został Wrzos Ryszard, który de facto mnie podlegał. HSZ miało za zadanie zajmować się oraz organizować oddziały ze starszej, przeszkolonej już przez HOP, młodzieży. Wchodzić tam miała sama starszyna już wypróbowana i wyszkolona do drużynowego włącznie, to zn[aczy] komendanci okręgów, obwodów, hufców i drużynowi. HSZ miało być zbrojnym ramieniem HOP i przejawiać swoją działalność na zewnątrz w postaci akcji. HSZ miało zdobywać broń i tą bronią zbroić swoje oddziały. Była organizowana przy Sztapie Głównym grupa do zadań specjalnych, tak zw[ana]

„Spec Grupa” Sztabu Generalnego, która miała wchodzić w skład HSZ i być faktycznym jego zaczątkiem. Miała ona wykonywać akcje, aby młodych członków HOP oszczędzić i nie narażać na wynikające z tego niebezpieczeństwo. Komenda Główna HSZ posiadała trzy wydziały, a jej członkami byli Wrzos Ryszard, Klimaszewski Kazimierz i ja.

Jeśli chodzi o HOP, to posiadaliśmy już zorganizowaną przez Wrzosa drużynę [Ryszarda] Gryczki z dwoma plutonami, które chcieliśmy wcielić do hufca Andrzejewskiego. Kilkakrotnie robiliśmy tam zebrania i uświadamialiśmy politycznie, wytyczając linię naszych dążeń oraz odbieraliśmy od nowych członków przyrzeczenie. Zebrania te robiliśmy wieczorem, po ciemku, ażeby nie być rozpoznanym przez członków drużyny. Oprócz tego zostało zorganizowanych kilku członków w Dobrym Mieście, którzy nie przejawiali dotychczas żadnej działalności. Jeśli chodzi o drużyny miejscowe, to po zorganizowanych przez nas zebraniach, gdzie ujawnialiśmy przed nimi sposoby walki, wykazywali dużo inicjatywy i samodzielności. Na przykład rozklejane były kilkakrotnie nalepki z hasłami antysowieckimi. Rozsprzedawanie i rozrzucanie gazetki „Czyn” oraz zrywanie powywieszanych w czasie uroczystości czerwonych flag. Flagi te częściowo zostały zebrane i po ufarbowaniu miały być uszyte przez dziewczęta jako kąpielówki, a następnie sprzedane, a dochód przeznaczony na cele organizacji.

Jeśli chodzi o dalszą działalność to było z mego rozkazu, a inicjatywy drużyn, zamalowanie [13 lutego 1950 r.] napisów niedawno [2 lutego 1950 r.] przemianowanej [w Olsztynie] ulicy Jagiellońskiej na Stalingradzką, jako znak protestu przeciw wprowadzeniu nazw i pamiątek sowieckich. O innej działalności dowiedziałem się dopiero po aresztowaniu, w czasie śledztwa, to jest o przecięciu kabla w Teatrze [im.] Stefana Jaracza w Olsztynie w czasie akademii w rocznicę urodzin Stalina, czy też śmierci Lenina, o jakichś zarzutach czy też wysadzeniu linii wysokiego napięcia oraz o projekcie wysadzenia w powietrze budującego się Pomnika Wdzięczności dla Armii Sowieckiej. Jeśli chodzi o pomnik, to miałem zamiar po wybudowaniu go wysmarować psim sadłem, ażeby go ośmieszyć, bo po dokonaniu takiego eksperymentu zleciałyby się wszystkie psy z całej okolicy i wyły pod pomnikiem. Ale o wysadzeniu pomnika i wyżej wymienionych akcjach ja przed aresztowaniem nie wiedziałem.

Pierwszego czy też drugiego lutego przyszedł wieczorem do mnie Klimaszewski Kazimierz nieco zdenerwowany i powiedział, że była u niego w czasie jego nieobecności Halina Szulcówna z prośbą, aby do niej przyszedł, pewnie coś się stało. Niezwłocznie udaliśmy się do Szulcówny i okazało się, że od rana nie ma Jadwigi Bączyńskiej i jest obawa, że została aresztowana. Po takim oświadczeniu udaliśmy się do mnie, gdzie spakowaliśmy całe archiwum, a następnie zanieśliśmy je na ulicę Lubelską do [Kazimierza] Brejniaka, u którego były urządzane kursy instruktorskie.

Przez cały czas naszej działalności odczuwaliśmy brak jakiegoś instruktora, który by nami kierował lub którego moglibyśmy się poradzić. Najtrudniejsze problemy musieliśmy sami rozwiązywać, bez niczyjej pomocy. Opracowując jakieś instrukcje czy też rozkazy, opieraliśmy się na najrozmaitszych wzorcach z książek, powieści, instrukcjach wojskowych, podręcznikach harcerskich itp. Dlatego nieprawdą jest, że nas ktoś inspirował, bowiem w tym wypadku nie potrzebowaliśmy, by się wzorować na nieodpowiednim i przestarzałym materiale, ale otrzymaliśmy gotowe już wzory, ewentualnie opracowane instrukcje. Nie posiadaliśmy kontaktu z żadnymi organizacjami, ani też z księżm, chociaż chcieliśmy mieć, nie otrzymywaliśmy tym samym od nikogo żadnych poleceń ani też nikomu nie dawaliśmy zebranego materiału, ale zbieraliśmy go do własnych celów.

Żadnych ubocznych funduszów oprócz naszych pensji nie otrzymywaliśmy na cele organizacyjne, wyłączając w tym składki.

W organizacji nikt nam nie pomagał, ani nikt nie podtrzymywał duchowo oprócz ks. Śmietany, z którym przeprowadziliśmy kilkanaście rozmów politycznych. Nastawienie i swój wrogi stosunek otrzymaliśmy przez ciągłe między sobą prowadzone dyskusje, słuchanie radia i czytanie krajowych gazet, z których wyciągaliśmy odpowiednie wnioski po porównaniu ich z wiadomościami otrzymanymi przez radio z zagranicy. W czasie wydawania gazetki „Czyn” żalowaliśmy bardzo, że nie posiadamy zdolności literackich, co nam utrudniało bardzo pisanie artykułów, ale nie mieliśmy odpowiedniego człowieka, który by się tym zajął. Nieprawdą jest, że jakoby tę funkcję ofiarowaliśmy druhowi Bojcie, bowiem druha Bojtę znam bardzo mało, a niechętnie wciągałismy nieznanne osoby na tak poważne stanowiska. Jeśli natomiast zaistniała taka lub podobna okoliczność, to z całą świadomością mogę powiedzieć, że nie jest mi ona znana. To samo dotyczy i starszych harcerzy, mimo to, że mieliśmy organizację harcerską, ale organizację tę prowadziliśmy samodzielnie, a nie uciekaliśmy się do pomocy starszych od nas harcerzy. Kiedy zaistniała potrzeba skontaktować się z jakąś starszą osobą, która by nam pomogła w naszej działalności, wtedy skorzystałem z wolnego czasu, gdyż zwolniono mnie z pracy i udałem się na Dolny Śląsk, w celu skontaktowania się z ks. Śmietaną.

Nie udało mi się ani skontaktować, ani też całkowicie zwerbować ludzi bowiem w Warszawie z Krystyną Długosiecką nie widziałem się, a na Dolnym Śląsku rozmawiałem tylko na ten temat z Zachwieją Ludwikiem, który też nie dał się całkowicie przekonać, ale miałem nadzieję, że go z czasem do tego nakłonię.

Działalność moja, jak i organizacji, rozwijała się w całej pełni do dnia jej zlikwidowania i mego aresztowania, to jest do 14 lutego 1950 r. Na tym oświadczenie swoje, które posiada 125 (sto dwadzieścia pięć) stron zakończyłem.

Olsztyn, dnia 14 kwietnia 1950 r.

Kazberuk Wiesław

Niniejsze oświadczenie podejrz[any] Kazberuk Wiesław odczytał i własnoręcznie podpisał w mojej obecności.

Mjr [Franciszek] Mateja [wiceprokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Olsztynie]

14 IV 1950 r.